



NOWA KULTURA

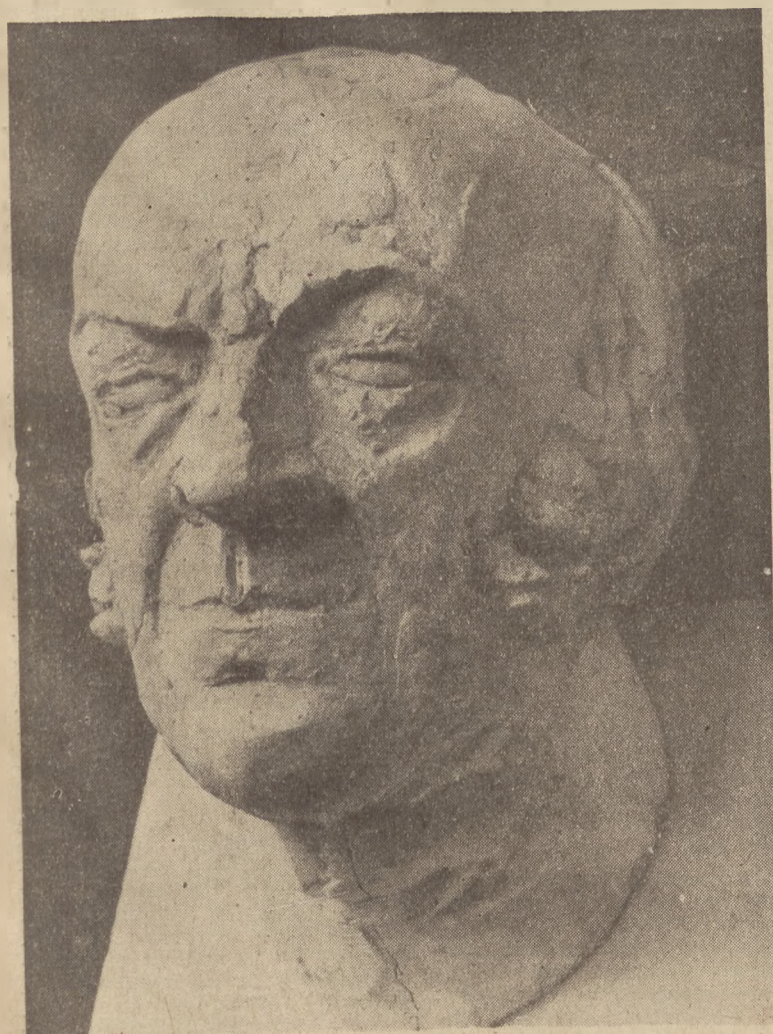
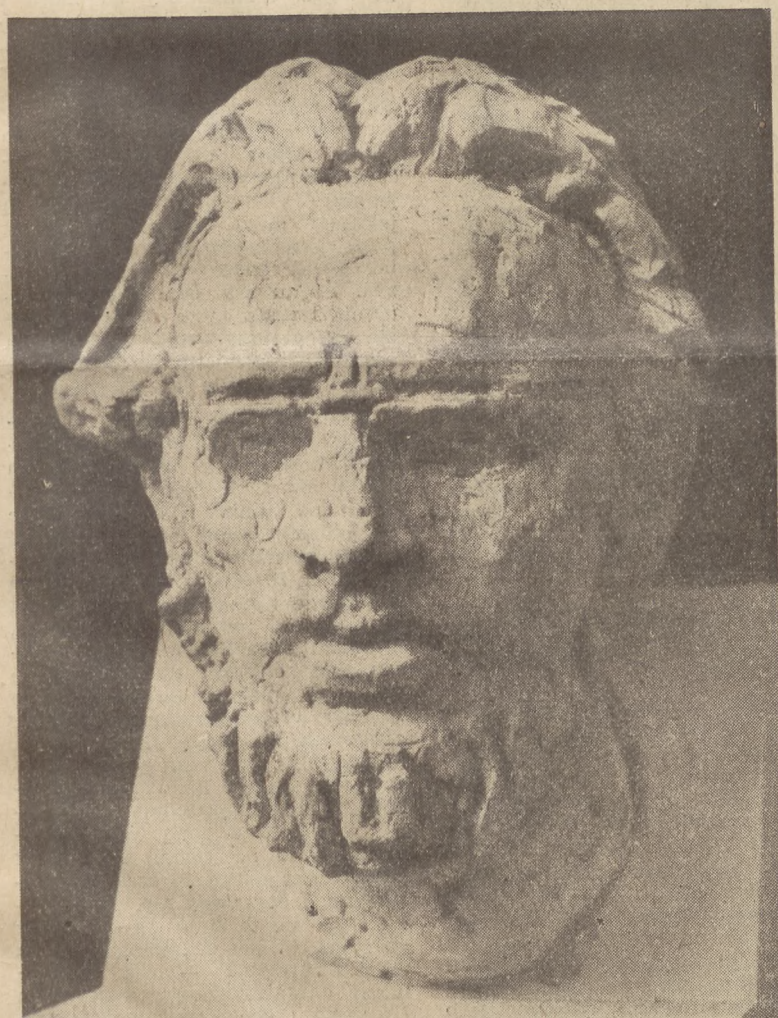
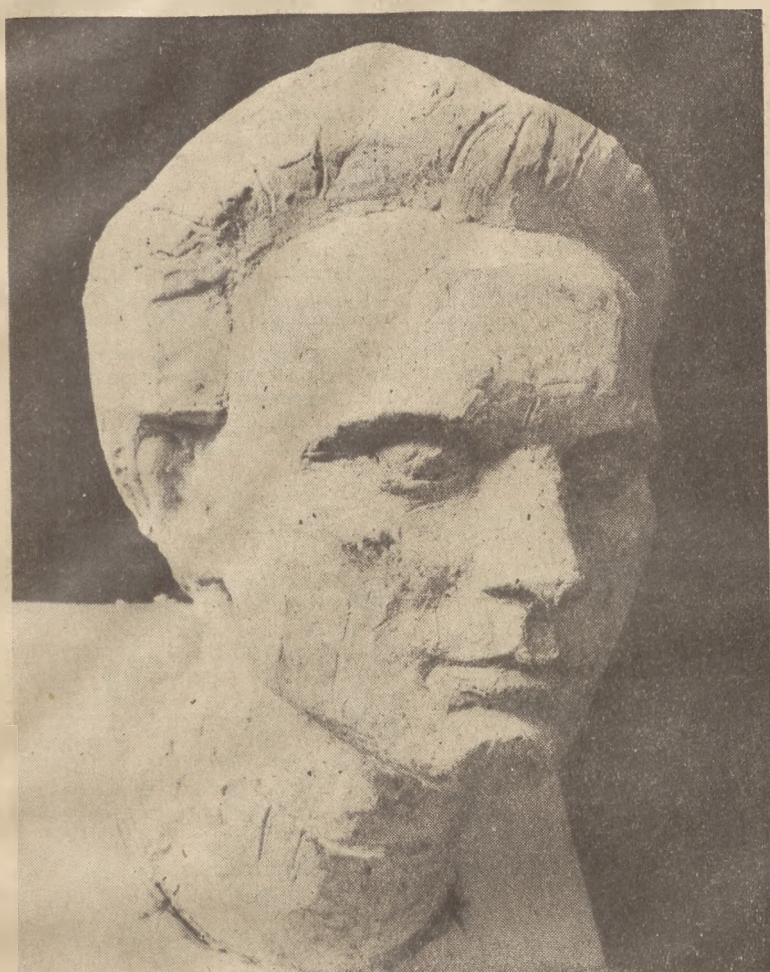
TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.80 zł — 12 stron

Warszawa, 18–25 grudnia 1955 r.

Nr 51-52 (299-300) Rok VI

DUNIKOWSKI



21 grudnia br. została w Warszawie otwarta Wystawa prac Ksawerego Dunikowskiego. „Głowy wawelskie”: Curie-Skłodowska, Waryśki, Trembecki.

LEOPOLD STAFF

DZIEWIEĆ MUZ

Chwila

Że mija? I coś że przemija?
Od tego chwila, by minęła,
Zaledwo moja, już niczyja,
Jak chmur znikome arcydzieła.

Chociaż się wszystko wiecznie zmienia
I chwila chwili nie pamięta,
Zawsze w jeziorach na przemiany
Kąpią się gwiazdy i dziewczęta

Faun

Zgrabny faun marmurowy
W płaszącej postawie
Gra na fletni bez głowy,
Co leży obok w trawie.

Leży z plamami pleśni
Patrząc niemo w strop nieba
I świadczy, że do pieśni
Głowy wcale nie trzeba.

Poeci, choć drzew chłodu
W dzień skwarny są spragnieni,
Nie chodzą do tego ogrodu,
Jak gdyby obrażeni.

Prometeusz

Wstawszy raz lewą nogą z łóżka Jowisz srogi
Zwołał na zgromadzenie olimpijskie bogi
I rzekł: „Mam tego dosyć! Niech Herkules
rusza

I wyzwoli natychmiast z pęt Prometeusza,
Bo czy się wam podoba to, czy nie podoba,
Obrzydła mi już tego pyszałka wątroba
I ten orzeł, co mu ją wieńczyć wyżera,
I łańcuchy, i dzikie skały, et caetera”.
I poszedł, aby rozkuć go, Herkules z młotem,
Lecz Prometeusz na to: „Ani mowy o tem,
Nie tykaj kajdan, niech ci się nawet nie
marzy!

Czy nie widzisz, jak mi z tym Kaukazem do
twarzy?”

Wykopaliska

Grzebiemy w ziemi głęboko,
Zbieramy cenne skorupki
Rozbitych garnków i dzbanów
Narodów zapomnianych,
Sprzed trzech tysięcy lat.
Leżą głęboko w ziemi
Pod gruzem dawnych miast
Zburzonych przez sąsiadów,
Co budowali znów miasta,
Robili znowu naczyńia,
Aby je nowi sąsiedzi
Zmieniali w cenne skorupki.
Zadbajcie o naszą pamięć,
Atomówki, wodorówki,
By po nas dla przyszłych wieków
Zostały cenne skorupki.



Wielka Oda do Gwiazd

Gwiazdy nie wstydźcie się swej chwały,
Choć szczydzi z was głos ironiczny,
Albowiem wszechświat jest wspaniały
Równie jak komin fabryczny.

Gałczyński

Pokazałeś w wesolej herezji
Przez swe fraszki fiołkowe i gęsie
Ile jest nonsensu w poezji
I ile poezji w nonsensie.

Oddech nocy

O, nocy cicha
Pod szafirem nieba
I spokojem gwiazd,
Oddychasz we śnie
Szczęściem i rozkoszą.
Lecz co ukrywasz
W swym cieniu?
Odetchnij głębiej!

Stojąc sam...

Stojąc sam na milczenia progu,
Tracę na zawsze twoje imię,
Druga osoba dialogu,
Wiecznej mgławicy pseudonimie.

Problemy

Problemów się nie rozwiązuje.
Problemy się przeżywa,
Jak dnie, których, gdy miną, już nie ma.
Jak szaty zużyte,
Z których się wyrosło,
Spadają z ramion
I w drzwi ostatnie
Wchodzisz nagi i wolny
Jak świt.



Przerzywniki Karola Baranieckiego

ZYGMENT KAŁUŻYŃSKI

O KOMPLEKSIE NOWOCZESNOŚCI

Polemika dokoła Wystawy młodych plastyków w Arsenale wydaje się jednym z najcenniejszych zdarzeń intelektualnych w ostatnim czasie.

Wśród wypowiedzi dyskusyjnych, najpełniej idee twórczymi wydają się artykuły: Juliana Przybosa „Wnioski i propozycje”, oraz K. T. Toeplitza „Przed świtem obrazów” („Przegląd Kulturalny”, nr 40 i 43). Teksty te, ze względu na swój charakter postulatyczny, nabierają cech manifestu „nowego etapu”. Tyczy to w szczególności wypowiedzi Toeplitza, który artykułowi swemu nadał formę artystycznego CREDO, (podział na cztery „POLEMIKI”, stanowiące jakby paragrafy „programu”; ton zarliwości w postulatach: „Wymagamy od sztuki, żeby kształtowała przyszłość...” oraz zaciekłość w inwektywach przeciw wrogom, którzy „plotą ponure brednie o kosmopolityzmie i epigonizmie” itd.). Artykuł Toeplitza został zresztą potraktowany jako rodzaj manifestu teoretycznego i odczytany na zebraniu Związku Plastyków, wywołał nie tyle dyskusję, co szereg deklaracyjnych „akcesów” młodych artystów.

Zarówno Przybóś, jak Toeplitz, domagają się wykorzystania w naszej sztuce zdobyczy nowoczesnej sztuki zachodniej. Postulat ten daje wiele do myślenia, i na jego marginesie pozwoliłem sobie zanotować kilka chaotycznych uwag.

Między imitacją i twórczością

Przed wszystkim zastanawia fakt, że sformułowanie nowych postulatów wyszło nie od plastyków ale od pisarzy. Wypowiedzi malarskie w trakcie dyskusji odnoszącej się do ogólnikowości i straszczącej się na ogół do żądania, by artyści zostawili swobodę twórczą. Nasuwa się więc pytanie, jakimi środkami nasi artyści rozporządzają i w jakim stopniu wykonali zamierzając hasła sformułowane np. przez „manifest” Toeplitza, który jest autorem „spoza warsztatu”.

Częściowej odpowiedzi na to pytanie udzielić może analiza dzieł, zaniedbana w trakcie dyskusji. Krytycy stwierdzili ogólnikowo, że młodzi artyści, odcięci przez wiele lat od sztuki zachodniej, łapczywie inspirowali się jej zdobyczami, tak że wystawa w Arsenale ma charakter imitacyjny. Byłoby pożyteczne ustalić co i jak słabe się wzorem twórczym dla naszych artystów, — tzn. jaka propozycja myślowa ukrywa się za wyborem przykładów do naśladowania.

Ciekawa pod tym względem wydaje się twórczość Gleba i Lenicy tj. dwóch młodych plastyków, którzy uzyskali ostatnio rozgłos, otrzymali nagrody oficjalne, i uchodzą za najcharakterystyczniejsze postaci „nowego etapu”: ostatni numer „Przeglądu Artystycznego” zamieszcza artykuły monograficzne o „Kogutach” Gleba i grafice Lenicy. Otóż „Koguty” Gleba zainspirowane są przez cykl kogutów Picassa, wykonany w latach 1938—40. Picasso przedstawia tego pospolitego ptaka domowego jako zwierzę tragiczne i potężne: dziób koguta, otwarty w desperackim krzyku staje się przerażającą paszczą, zaś nogi szeroko rozstawione i pierś wypięta jakby ze spiżu, upodabniają koguta do drapieżnika rozpaczliwie walczącego o życie. Tę indywidualną wizję koguta krytycy tłumaczą obsesją twórcy Picassa w okresie gdy pracował nad „Guernicą”; na obrazie tym artysta umieścił pół-symboliczną postać ginącego byka, w podobnej konwencji graficznej — dynamicznej, co koguty — postaci tych zwierząt powtarzane w wielu wersjach, wyrażają biologiczny spazm protestu przeciwko zbliżającej się wojnie. Motyw koguta pochodzi z francuskiego znaku herbowego, co tłumaczy jego dumną monumentalność. Picasso daje wariacje na temat „coq gaulois”, przygotowującą się do walki.

Pogodna gloryfikacja koguta wydaje się obca polskiej koncepcji tego przedstawiciela drobiu; w tradycji ludowej „kurek na kościele”, czy drewniany kogutek głupowaty i czupurny, przypominający „Kra-kowiacka-ci-ja”, nie posiada cech bohaterskich, ale raczej jest przed-

miotem życzliwej kpiny. Gleb nie był zapewne obowiązany inspirować się ludową koncepcją koguta, ale mógł spojrzeć na to zwierzę własnym okiem. Oglądaliśmy co prawda na dodatku filmowym, jak Gleb w swej pracowni karmi autentycznego, dosyć smutnego białego koguta, który mu służył za model; wydaje się wszakże, że żywy ptak nie był artyście potrzebny, ponieważ istotnym wzorem był album Picassa. Dlaczego Gleb, w Warszawie w roku 1955, kopiuje koguty narysowane przez Picassa w Paryżu w roku 1938, a nie np. konie malowane przez Chirico w 1942?

Podobne pytanie, trudne do odpowiedzi, nasuwa się w związku z twórczością Lenicy. Lenica spopularyzował u nas motyw „klasycznej twarzy”, czystej, obojętnej, dalekiej, nie wiadomo czy należącej do kobiety, mężczyzny lub efeba, bez zdefiniowanych cech rasowych i geograficznych; to oblicze kamienne i abstrakcyjne, rysowane szkicowo, występuje szczególnie w okazach „pokojowych”, obrzucone bądź to gołębiami, bądź kwiatkami, ewentualnie płatkami kolorowymi (na chustce festiwalowej). Podobny motyw „marmurowej głowy” pojawia się w latach 1930-tych u Picassa, Braque’a, Chirico, pod wpływem przemian ideologicznych, zachodzących w tym czasie w ruchu awangardowym. Rodzi się wówczas tendencja „klasycyzująca”, przeciwstawiająca się dotychczasowemu anarchizmowi indywidualistycznemu, sformułowana przez Cocteau w „Le sang d’un poète”. „Poezja nowoczesna, po okresie destrukcyjnym, winna podjąć dziedzictwo kultury europejskiej”. Artyści formiści nie zamierzają jednak zrezygnować z eksperymentów stylistycznych, i tak powstają dziwne obrazy, gdzie na tle zdeformowanych kubistycznie gitar, połamanych naczyń i „chaosu perspektywicznego”, widać posagową twarz greckiej rzeźby, schematyczną i niepokojącą. Stanowi ona aluzję do elementu szeroko rozpowszechnionego w kulturze francuskiej: jest to tradycyjne popiersie „Marianny”, symbol Republiki znaj-

dujący się w każdym merostwie, — dziesiątki rzeźb „rzymskich” w Tulierach i innych parkach — piękna, zimna, obojętna głowa modela mody w żurnalu, zainspirowana przez wzór klasyczny.

W Polsce, którą można przejechać we wszystkich kierunkach nie znalazłszy nic podobnego, motyw „klasycznej twarzy” wydaje się pozbawiony znaczenia; głowa reprodukowana przez Lenicę, nie kojarząca się u nas z niczym nawet jako abstrakcyjny symbol, staje się li-tylko nieobecną duchem, pustą: głupia. Nie lepiej jest z innymi tematami w twórczości Lenicy. Ryunki przywiezione przez niego z Londynu i opublikowane, nie bez fanfar, w „Szpilkach”, były zawodem: młody artysta nie zobaczył nic nowego w Anglii, powtórzył scenki obyczajowe zanotowane od dawna przez Czernańskiego, Topolskiego, Searle’a; gwardzista w ogromnej czapce futrzanej, fotografowany przez pokracznego turystę amerykańskiego, itd. itd. W swych karierach znowu Lenica imituje Steinberga, świetnego grafika amerykańskiego, którego transplantacja do Polski nasuwa wszakże wątpliwości. Twórczość Steinberga wyraża pewną filozofię — jest to rodzaj życzliwej, wzdargi dla cywilizacji USA, gdzie panuje kontrast między pretensjonalnym bogactwem architektury, przedmiotów, ubrań oraz ubóstwem wewnętrznym Amerykanów. Steinberg rysuje więc parodie drapaczy chmur, wnętrz zastawionych chińskimi wazonami, samochodów ozdobnych jak papugi; na tle tych rekwizytów roją się ludzie o wielkich nosach i oczach bez wyrazu, zgubieni, nie pasujący, śmieszni i zarazem rozpaczliwie smutni. Gdy wszakże Lenica, ilustrując wiersz o przeprowadzce warszawskiego mieszczucha, rysuje podobnego człowieczka o melancholijnym nosie, popychającego taczkę, gdzie leży wanna o rokokowych nóżkach, na niej secesyjne tremo, jeszcze wyżej fryzjerska głowa gipsowa z peruką itp. przedmioty, które są u Steinberga, ale których nie ma w Warszawie — popada w ana-

(Dokończenie na str. 8 i 9)

PAWEŁ JAS'ENICA

Szkoła meteków

Do pisarzy, których wysoko ceniłem przed wojną zaliczał się redaktor „Słowa wileńskiego”, Stanisław Mackiewicz — Cat. Uważam, że jako publicysta polityczny nie miał on w kraju konkurencji (ranga ówczesnej publicystyki w ogóle była godna uwagi: pierwsze miejsce w literaturze polskiej ostatniego przedwojennego dziesięciolecia zajmował przecież Boy).

Nie o to chodzi, czy Cat zawsze miał rację. Rozmaicie bywało (zaraz po aferze zaolziańskiej napisał on artykuł „Nad czym się nie zastanawia triumfująca dziś ulica”, obecna historiografia radziecka przytacza go na dowód, że polityka Becka była w Polsce niepopularna i że nawet na skrajnej prawicy dostrzegano jej szkodliwość). Ale jasność roboty publicystycznej!

I oto ten wyjątkowo inteligentny oraz utalentowany człowiek w zeszłym roku został w Londynie „premierem”. Długo zastanawiałem się jak do tego mogło dojść.

Listopadowy numer paryskiej „Kultury” drukuje obszernie wspomnienia Stanisława Mackiewicza „Un travail raté”. Odnoszą się one właśnie do okresu „premierowania”. Zaraz przytoczę dwa fragmenty, umyślnie wybierając najmniej przykre:

„Premier emigracyjny to przede wszystkim odpowiedź na pytanie jak wyprowadzić politykę polską z impasu. Premier Hryniewski po swojej nominacji całkiem serio tłumaczył mi, że liczy na katolicko-łacińskie państwa Ameryki Południowej. W jaki sposób sobie wyobrażał, że brazylijski Vargas i argentyński Peron porzucą wszystkie swe sprawy i pójdą na udry ze Stanami, Anglią, Francją i Adenauerem, żeby przeforsować polski punkt widzenia w polityce światowej to już jest jego słodka tajemnica. Ale że to nie jest żadna kalumnia przeze mnie na mego poprzednika wymyślona, ale że p. Hryniewski miał naprawdę „konceptę”, „współpracy” z Ameryką łacińską świadczą o tym jego przemówienia publiczne na których to powtarzał”.

Teraz drugi fragment:

„Pierwszy incydent należy do rządu chwyty nagonkowych na moją osobę. Podpisywałem wtedy niektóre artykuły pseudonimem „r.-r.-r.” — trzy małe „r”. Otóż zdziwiło się, że wśród emigracji polskiej w Londynie znalazła się pewna dama, której nazwisko zaczynało się na „R”, oczywiście duże. Przy pomocy pewnego eks-dyplomaty, specjalisty od plotek wskiego rodzaju, uznano, że czując do tej damy nieodwzajemnioną zresztą sympatię i oto p. Bugajski zapowiada w rozmowie z p. Pajakiem, że jeśli się do pewnego dnia ultimatywnego nie podam do dymisji, to opozycyjna część Rady Narodowej będzie chórnie skandować to nazwisko na „R”.

Wzruszyłem ramionami na taki nie szantaż nawet, a szantaż, ale dla pewności zapytałem się tej pani co o tym powie i otrzymałem odpowiedź, której się zresztą spodziewałem, połączone ze wzruszeniem pięknych ramion: — A niech wrzeszcza, bardzo będę rada”.

Kto wie, czy Stanisław Mackiewicz nie przyjął „teki” z pobudek perwersyjnych. Może kierowała nim pasja publicysty, żądnego podpatrywania fenomenów. Jeśli tak — to cel osiągnął. Albowiem nie słyszano od wieków, by taką szopkę polityczną opisało równie świetne pióro.

Jest wszakże w tym pamiętniku rozdział nie mający nic wspólnego z groteską — Stanisław Mackiewicz, je-

dyny z emigracyjnych „premierów”, podniósł sprawę skarbów wawelskich. Jego dzisiejszych poglądów na tę kwestię można się domyślać z poniższego wyznania:

„Wtedy w grudniu 1954 roku nie mogłem wystąpić z propozycją odesłania tych Skarbów na Wawel. Ale oczywiście wybór pomiędzy zniszczeniem i zaprzepaszczeniem tych Skarbów, a ich odesłaniem na Wawel był dla mnie jasny. Mogłbym się tu powołać na przypowieść o dobrej matce z sądu Salomona”.

Zostawszy „premierem” Stanisław Mackiewicz znalazł w emigracyjnym M.S.Z. liczne teczki z materiałami dotyczącymi zabytków. Rozczytywał się w nich „z biciem pulsów w skroniach. Znalazłem tam raporty do generała Bora, do Odzieżyńskiego, do Hryniewskiego z których wynikało, że te nasze pamiątki, mające zresztą wartość antykarską około 60 milionów dolarów są fizycznie zagrożone w swym istnieniu, niszczenia i gniją. Zachowanie się moich poprzedników wobec tej tragedii narodowej było typowo biurokratyczne. Chowały dramatyczne raporty pod stół, mając wymówkę, że ogłaszając prawdę daliby „argumenty reżymowi”.

Nie wszystkim widać przyświeca wzór dobrej matki z przypowieści o sędzi Salomona.

Stanisław Mackiewicz postanowił szukać ratunku dla arrasów. Korzystając z pośrednictwa rozmaitych ustosunkowanych person porozumiał się z p. Dawidem Finley'em, dyrektorem muzeum w Waszyngtonie. Yankes obiecał zabezpieczyć skarby oraz wydać oświadczenie, „że zostaną zaraz przywiezione do Polski skoro uznamy, że odzyskała ona Niepodległość”.

„Otóż są i kontrakty! kijowskie czy mińskie? Rzekł stary Maciej, owóz i rządy babińskie...”

Chciano pewnie zastrzeżać, kto ma „prawo” dysponowania skarbami i kto ten przywilej dziedziści. Tymczasem sam Stanisław Mackiewicz pisze, że wszelkie postanowienia władz emigracyjnych w oczach sądów anglosaskich nie znaczą. I — na miłość boską! — nie mogą znaczyć, bo nie u wszystkich na świecie koszałki-opalki we łbie. Pewnie, że to wygodnie wziąć arras do Waszyngtonu. Wielkie dzieła sztuki, zabytki nie mające sobie równych. A oprócz tego — nawet w Stanach Zjednoczonych 60 milionów dolarów piechotą nie chodzi.

Projektowany układ w muzeum waszyngtońskim napotkał trudności. Oddajmy znowu głos Catowi:

„Otóż premier Duplessis (premier kanadyjskiej prowincji Quebec — przyp. mój), który kiedyś pomagał nam ukrywać te skarby przed rządem komunistycznym, teraz widać upodobał je sobie i rozpoczął gwałtowną polemikę przeciwko moim zamiarom. Postawiłem wręcz przedstawicielstwu politycznemu Kanady w Londynie pytanie, czy uważają, że Skarby te stały się już kanadyjskie. Potem zwołałem konferencję prasową dziennikarzy zagranicznych pracujących w Londynie. Wszystkich oczywiście zaprosić nie mogłem, ale przyszli wszyscy zaproszeni, gdyż zafascynowała ich kwestia skarbów ukrytych w Kanadzie. Byli Francuzi, Włosi, Belgowie, Hiszpanie, Szwajcarzy, Niemcy i Austriacy. Ukazały się liczne artykuły w prasie tych krajów... Moi rodacy zarzucali mi, że się narazam rządowi kanadyjskiemu. Ze strachem patrzyłem na postępującą psychologię rezydenta, który gotów jest służyć własną żoną, aby się panu domu, w którym rezyduje

przygodobać. Miałem dopuścić do zniszczenia Skarbów Wawelskich, aby się nie narazić. p. Duplessis” (który n. b. podczas polemiki usiłował obniżyć wartość depozytu z 60 do 20 milionów dolarów).

O skarbach wawelskich nasza prasa wiele razy pisała, rząd podejmował rozmaite akcje. Trzeba wznowić kampanię. Należy wszelkimi możliwymi środkami starać się oddziaływać na światową opinię publiczną.

Pamiętnik Stanisława Mackiewicza zawiera jeszcze wiadomość, która świadczy, że mieli słusność ci, którzy parę miesięcy temu podpisali apel wzywający emigrantów do powrotu.

„Skarby Wawelskie — pisze Cat — były przyczyną, iż po raz pierwszy zrozumiałem, że nie zawsze mam właściwy klucz do opinii emigracyjnej... w tej sprawie nie znalazłem zrozumienia, jakiego się spodziewałem. A przecież zdawało się, że każde dziecko polskie wie o Szczerbcu Chrorego, o włóczęńcu Maurycego tegoż Chrorego, o ornatach haftowanych przez królową Jadwigę, o arrasach. Wydało mi się straszne, że te rzeczy niszczenia i przepadają. W odpowiedzi spotkałem się nie tylko z brakiem entuzjazmu do ratowania, ale z drwinami. Dziwna jest zaiste psychologia emigracyjna. Czasami obrzydliwa. Ciągłe miałem poczucie, że Skarby Wawelskie byłyby zupełnie przez społeczeństwo emigracyjne inaczej odczuwane, gdybym wystąpił z oskarżeniem, że ktoś je kradnie, że ktoś na tym robi interes. Wtedy byłby na pewno zgłęb. Ponieważ chodziło tu tylko o uratowanie od zniszczenia najdroższych naszych pamiątek narodowych więc było chłodno i lodowato”.

Podkreślenie było moje. Ów „ktoś”, któremu emigracja zabroniłaby kradzieży skarbów musiałby być oczywiście rodakiem. Chodziłoby o zazdrość, że się bogaci. Bo skoro działają cudzoziemcy — grzeszna emigracja patrzy na to z przyimnym uśmiechem.

Proszę się nie gniewać za ostry ton tych wywodów. Osądzmy trzeźwo: kilkaset tysięcy ludzi pozostaje na emigracji czyniąc to — jak twierdzą ich przywódcy — z pobudek patriotycznych. Środowisko to „chłodno i lodowato” odnosi się do wieści, że największe skarby kultury narodowej niszczenia i gniją. Patriotyzm, prawda? Jakże czysta i ożywcza aura moralna musi tam panować!

Jestem Stanisławowi Mackiewiczowi głęboko wdzięczny za uświadomienie mnie o faktach, w pełni potwierdzających motyw, którymi się kierowałem podpisując apel do emigrantów. Trzeba czynić wszystko, co w naszej mocy, by jak największe ludzi wróciło do kraju i przestało oddychać atmosferą wytworzoną przez rozmaite „legalne rządy”, „zamki” i inne „zjednoczenia”. Nie powinny się na Zachodzie wytwarzać legiony meteków, mówiących po polsku i noszących polskie nazwiska. Nie potrzeba nam tego typu „ambasadorów” polskości. Bo nie wyobrażamy sobie, iż narody, wśród których ci ludzie mieszkają, są ślepe i nie widzą, że psy-

chologia emigracyjna bywa „czasami obrzydliwa”.

Większość emigracji niewątpliwie nie zobojętniała dotąd na sprawy narodu i jego kultury. Oby jak najszybciej wyrwała się spod wpływu panów, do których w sam raz pasuje powiedzenie Żeromskiego: „z rozjuszoną oczyma i z pyskami pełnymi moralności”.

Wychodzi w Londynie tygodnik „Życie”. Pisuje w nim pewien ćwierć-inteligent, nazwiskiem Jan Bielatowicz. Pan ten obwieścił niedawno, iż rząd polski („reżym”) — podżegany przez Adama Polewę tudzież przez niżej podpisanego — chce zniszczyć Kraków. Naprawdę niczego nie wymyśliłem. Artykuł Jana Bielatowicza nazywał się „Burzenie Krakowa” i głosił, że taki właśnie cel wytknięto sobie u nas.

„Życie” jest pismem katolickim. I postanowiło widać wznowić tradycję przedwojennej Katolickiej Agencji Prasowej, o której nawet prawnicze gazety pisały, że specjalizuje się w kłamstwie.

Więc to my dajemy do zniszczenia wszystkiego, co przypomina tradycję kultury narodowej! Bronią zaś ich wyłącznie Bielatowice i w ogóle tacy, którzy wolą widzieć polskie arras w muzeach Quebecu czy Waszyngtonu, albo i zgnić, byle tylko nie oddać ich Wawelowi. Cóż, w piśmie krajowym nie wypadło mi przypominać o tym, co wszyscy wiedzą. Mianowicie, że aczkolwiek daleko nam do zaspokojenia wszystkich potrzeb, to jednak wydajemy bardzo duże sumy nie tylko na ochronę i odbudowę zabytków lecz także na badania archeologiczne, które przekonały nas, że kultura polska liczy sobie o wiele więcej niż tysiąc lat.

Miałem okazję bliżej zetknąć się ze wspomnianymi ostatnio robotami i przekonać się, jak wielkie zainteresowanie budzą one wśród wszystkich warstw ludności. Okazało się, że Polacy w kraju mają czule serca nie tylko dla Wawelu, Pałacu pod Blachą czy wrocławskiej katedry, lecz również dla zmurszałych belek kładzionych przed dziesięć wiekami przez nieznanych ludzi naszej krwi. W tej samej Nowej Hucie, o której tyle się teraz wypisuje rzeczy słusznych i niesłusznych, załoga żywciliwio odnosi się do wykopalisk, interesuje się, pomaga.

Byłoby dobrze, gdyby możliwe najwięcej emigrantów znalazło się w tym właśnie, tak reagującym środowisku, opuściło zaś tamtych, lodowatych i chłodnych, a rozwrzeszczanych.

Prasa emigracyjna narzeka, iż ci, co podpisali apel, nie podejmują dyskusji i nie uzasadniają na piśmie swego czynu. Artykuł ten jest właśnie próbą takiego uzasadnienia. Mam wrażenie, iż dotyczy on sprawy ważnej, może najważniejszej.

Paweł Jasienica

P. S. Panów Bielatowiczów zapewniam, iż nie ma żadnych sidiel politycznych w moich akcentach uznania dla Stanisława Mackiewicza. Nikogo nawet nie uprzedzałem, że zamierzam pisać w ten sposób.

P. J.

Kartki z dziennika

Mój chłopięcy ideał

JERZY ANDRZEJEWSKI

Tak się na skutek różnych okoliczności składało, że trzy kolejne ferie wakacyjne spędzałem we wczesnym chłopięctwie w Wiśle, na Śląsku Cieszyńskim. Zaraz po pierwszej wojnie światowej Wisła nie była jeszcze modnym uzdrowiskiem, jakim się stała w latach trzydziestych. Połączenia kolejowego nie miała, dojeżdżało się z Ustrońa kołmi. Również Domu Zdrojowego nie było, ani szosy asfaltowej, chodników, nowoczesnych willi i wielu innych udogodnień cywilizacyjnych. Ale może właśnie dlatego wakacje spędzane podówczas w Wiśle łączą mi się nieodmiennie z niepowtarzalnym urokiem swobody, jakiej udziela przyroda jeszcze nieuporządkowana ludzkimi dłońmi.

Julek R. również przez kilka lat z rzędu przejeżdżał na wakacje do Wisły. Za pierwszym moim pobyciem mieszkał w tym samym pensjonacie, co i ja z moją matką, przyjechał jednak ze swymi rodzicami w tygodniu po mnie, gdy nieśmiertelny duch Wielkich Zabaw zdążył już kilkunastu podrostków, przybyłych z różnych stron kraju, zjednoczyć w zgraną bandę.

Julek R. przyjechał z Katowic z początkiem lipca. Po raz pierwszy ujrzałem go wczesnym rankiem, jeszcze przed śniadaniem, na rozległej polanie, która rozpościerała się między starym piętrowym drewnianym, gdzie mieszkaliśmy, a bitym górskim potoczkiem, zwącym się ku memu niezmiennemu zdumieniu Wisłą. Wybiegłem właśnie z domu, potrząsając wojowniczo ołszynową dzidą, gdy na werandzie naszego domu ukazał się chłopiec, sądząc że wzrostu starszy ode mnie o parę lat, co najmniej dwunastoletni. Chudy i długonogi, z kształtną głową zgrabnie osadzoną na smukłej szyi, ciemnowłosy i lekko kędzierzawy, ubrany był — świetnie to pamiętam! — w krótkie niebieskie spodnie i żółty trykocik.

Zgodnie z obyczajami naszych lat ocenialiśmy siebie najpierw na odległość, aż wreszcie uznaliśmy, że obowiązującym formom stało się zadość poczęliśmy się ku sobie zbliżać. I kiedy dzieliła już nas odległość kilku kroków, stało się naraż, co na okragłe dwa lata zadecydowało o moim wyborze chłopięcego ideału. Julek, wyższy ode mnie prawie o głowę, przysłał mi się chwilę bistro i krytycznie, po czym nagle się wykrzywił i przeraźliwie głośno, zuchwale i wyzywająco zabeztał jak baran. To było niesłychane! Porażony i oślniony, wybełkotałem coś nieskładnego, jakby mi język zdrtwał, tamten zaś beknął jeszcze głośniejsze, jeszcze wspaniale i triumfalnie. Koniec był ze mną. Zabrał mi ten chłopiec duszę, zdobył mnie i rzucił sobie do kolan. Spróbowałem odwzajemnić się mu podobnym beknieniem, lecz — o wstydz! — jakże wątle i żałosnie, niby mysi pisk, zabrzmiało ono w moich ustach.

Po paru dniach Julek niepodzielnie zawiądnął całą naszą bandą, a ponieważ kipił w nim nadmiar energii i pomysłów, doprowadził niebawem do rozłamów gromady. Nie wolniczo podlegli poddani nie zaspokajali jego bujnych ambicji. Musiał mieć także przeciwników. Tak więc Wielkie Zabawy owego lata upłynęły pod znakiem zaciętych walk, zaś ponad tą wojenną wrzawą, ponad naszymi gorejącymi twarzami i haniebnie podrapanymi nogami, niezmiennie od wczesnego rana do późnych wieczorów rozbrzmiewały w różnych okolicach Wisły baranie beki wyrażające wszystko: i powitanie, i pobudki bojowe, pogardę dla wrogów i triumf zwycięstwa, a także jeszcze coś większego, wzniołszego, co w nas żyło, lecz czego żadnym słowem nie podobna było nazwać. Jeśli o mnie chodzi, to dzięki ślepego podziwowi, ofiarności wojennej oraz postępowi w beczeniu zostałem pod koniec lata mianowany przez Julka jego przyboznym adiutantem.

Wszystko przecież ma swój koniec. Skończyło się zatem lato, rok szkolny miał się niebawem zacząć, poczęliśmy się więc rozjeżdżać do rodzinnych miast. Pamiętam, że w tych właśnie dniach odjazdów nasze beczenia rozbrzmiewały przenikliwiej niż zwykle, lecz jak gdyby mniej w nich było bojowości, więcej natomiast tęsknej, przejmującej nuty, tak charakterystycznej dla ptaśkich głosów zwolujących się jesienią do odlotu.

Wyjechałem jako jeden z ostatnich, uwołając do Warszawy pamięć o moim ideale oraz świadectwo uwielbienia i solidarności: barani bek. Nie, nie zapominałem tego lata! Barani bek przez długie miesiące zimy śpiewał w moich piersiach, z wiosną trochę przycichł, lecz nie na tyle, aby wraz z powrotnym przyjazdem do Wisły nie zabrzmieć na nowo i z całą siłą miłosnego czaru.

Z zeszłorocznych towarzyszy nie było nikogo, lecz chyba nie z tej przyczyny nieśmiertelny duch Wielkich Zabaw nie mógł mną od razu zawładnąć. Czekaliśmy na Julka, wiedziałem przecież, że ma przyjechać. I rzeczywiście, podobnie jak w roku ubiegłym, przyjechał w pierwszych dniach lipca. Ponieważ jednak, jak się okazało, zamieszkał w innym pensjonacie, niż ja,

spotkałem go po paru dopiero dniach, na wypsecie, która rok temu była naszą twierdzą wojenną.

Nie był, niestety, sam. Otaczało go z dziesięciu co najmniej chłopców. Bardzo przez ten ostatni rok wyrósł i zmężniał, wzrostem górował nad wszystkimi, przez ramie miał przewieszony ogromny łuk, a do paska przytroczoney koleczan ze strzałami. Boże miły, jak mi serce biło ze wzruszenia! Przewycięzłem jednak nieśmiałość i podszedłem bliżej. Dostrzeżono mnie, lecz przyjęto milczeniem, bez słowa i bez gestu zachęcającego. Mimo to, patrząc wprost w oczy mego chłopięcego ideału, zacerpiałem w piersi tchu i wspiąwszy się cokolwiek na palce zabeztał najdoskonalszym baranym bekim, jaki kiedykolwiek rozbrzmiewał u źródle Wisły.

Przez chwilę panowała cisza, tylko jodłowy las na pobliskim wzgórzu powtórzył giucho moje wezwanie. I nagle gromada chłopaków wybuchnęła zgodnym, gromkim śmiechem. To było straszne. Czerwony i spotał się nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, gdzie się podziąć, gdzie skryć swój wstyd, żal, poniżenie. I być może Julek zrozumiał mekę swego dawnego adiutanta, jakkolwiek bowiem patrzył na mnie bez przyjaźni, przecież skinął w pewnym momencie ręką, a kiedy na ten znak śmiechy natychmiast ścisły — wystąpił krok do przodu, potrząsnął ciemną, kędzierzawą czupryną i obie dłonie podniósłszy wspaniałym gestem do góry, wyrzucił z siebie groźny i bohaterski okrzyk Indian, godny samego Winnetou.

Nie jestem pewien, czy przed końcem lata udało mi się do ostatka zmyć z siebie hanbę niewczesnego beknienia. Wlokło się ono za mną, jak cien, jak sztycher śmiech. A przecież już nie kochałem baraniego beku. Znakomitszy od niego i świetniejszy, męzny i zwycięski okrzyk Indian czułem i uwielbiałem. Ostatecznie jednak, nim się poczęliśmy z końcem wakacji rozjeżdżać, Julek ocenił mój święty zapal i w nagrodę dopuścił mnie raz jeden do grona kilku wybrańców zasiadających przy ognisku rady wojennej. Pamiętam dobrze tę jedyną moją radę, ponieważ pieczonym kartoflem okropnie jężyłem wtedy poparzyć wargi i serce. Potem zaś zaczęły się pożegnania i przez kilka dni indiańskie okrzyki rozbrzmiewały po Wiśle tą samą nutą tęsknoty, jaka w roku zeszłym niosła się w beczeniach.

Ostatni akt mego dramatu rozegrał się następnego lata. Znowu przyjechałem do Wisły, lecz tym razem dłużej niż roku poprzedniego czekałem na Julka. Nie wiem, może później przyjechał, a może chodził własnymi, mnie nieznanymi drogami, dość, że spotkałem go dopiero w połowie lipca i to nie na naszej wyspie, ani w żadnym tradycyjnej Wielkich Zabaw poświęconym miejscu, lecz całkiem niespodziewanie w pewne popołudnie pośpiesznie idącego wzdłuż potoku, w białych spodniach, białej koszuli z krótkimi rękawami, z nowiutką rakietą tenisową pod pachą. Ledwie go poznałem. Nieprawdopodobnie wydoszłał, wystarzał w górę, włosy, dawnej zawieszę potargane, teraz miał przyczesane starannie, lśniły od brylantyny. I odprawdy nie wiem, kiedy i jak się to stało, że ujrzawszy go stanąłem jak skamieniały — on też się zatrzymał — lecz natychmiast ogarnięty nagle wzbrany ucuciem i chęć za wszelką cenę zadziwić i na nowo zdobyć mój chłopięcy ideał, wypięłem swoją nieciekawą pierś dwunastoletka i ze wszystkich sił wyrzuciłem ze siebie groźny i bohaterski okrzyk Indian.

Nie, tym razem nikt mi się w twarz nie roześmiał. Spotkało mnie jednak coś o wiele gorszego. Julek z naglejszą pogardą i niesmakiem przypatrywał mi się chwilę przymużonymi oczami, potem rzuciwszy krótko przez zęby jedno słowo: gówniarz! — wyminął mnie i elegancki, nieskazitelnie biały, niedbale wywijając rakietą poszedł w swoim kierunku.

Wracałem tego wieczora do siebie rozbity, z sercem pokorczonym jak flaczek i z nogami podobnymi do zepsutych zawiasów. Wszystko było przekreślone, przegrane, na zawsze, niepowrotnie i nieodwracalnie stracone.

Wtem, już niedaleko domu, zabiegł mi drogę zamieszkały w tym samym, co i ja pensjonacie, jasnowłosy, puciołowy malec, który jeszcze przed paroma laty kręcił się niekiedy nieporadnie na peryferiach naszych Wielkich Zabaw. Odruchowo przystanąłem.

— Czego się pętasz? — burknąłem.

A on z zachwytem i błagalną prośbą w okragłych, przejrzyście niebieskich ślepkach nieśmiało, cieniutko zabeztał. Pociemniało mi w oczach i już tyle tylko pamiętam, że stało się ze mną coś strasznego. Rzuciłem się na malca i zaciśniętymi kulakami zacząłem go walić na oślep, bez zastanowienia, szaleńczo, z jednym tylko pragnieniem, żeby bić, kopać, tłuc, niszczyć, mordować... Zrobiło się okropna awantura.

Jerzy Andrzejewski

Nowość! Nowość!

Marian Brandys
WYPRAWA DO OFLAGU
s. 132 OFLAG, 21.8.20
Opowiadania o życiu oficerów polskich w obozie dla jeńców wojennych w Woldenbergu.

*

Kazimierz Józwiak
W POSZUKIWANIU DROGI
s. 263 OFLAG, 21.8.20
Nowa pozycja z serii „Pamiętniki i wspomnienia robotników”.

*

Zdzisław Kubalski
DROGA REDAKCJO
s. 224 OFLAG, 21.8.20
Opowieść o młodym korespondencie wiejskim.

*

Eugeniusz Pauksztla
NOC JAK DZIEŃ
s. 295 OFLAG, 21.8.20
Powieść z życia niewidomych, oparta na bogatym materiale faktycznym.

*

Tadeusz Różewicz
OPADŁY LIŚCIE Z DRZEW
s. 106 OFLAG, 21.8.20
Nowe wiersze poety z okresu okupacji hitlerowskiej.

*

Maria Zientarowa
DROBNE USTROJE
s. 183 OFLAG, 21.8.20
Obszerny wybór felietonów drukowanych w „Przekroju”.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

W czasie swego pobytu w Warszawie, Paul Cazin odwiedził redakcję „Nowej Kultury” i wręczył nam swój przekład wiersza Gałczyńskiego.

interprété par Paul CAZIN

Sen żołnierza

Flynie w łodzi zielonej...
ach, do domu tak blisko.
Chwila jeszcze i schyli się
nad córeczki kołyską.

Żona zaklascze w dłonie,
jak ptak do furki pomknie —
zaczzerwienia się mocniej
na kłombie pelargonie.

Przy furcie pocałunki,
przy furcie lzy rzęsiste...
Jak cicho. Córka śpi.
Dzięki Ci za Chryste.

— Matka zdrowa? — Zdrowiutka.
Ot, wszystko po dawnemu.
Co było — przeminoło,
działować Najwyższemu.

Głodnyś? — Nie, nie, Nie trzeba.
— A może chcesz herbaty?
— Nie, nie. Daj się zapatrzyć
w ciebie, w dziecko i w kwiaty.

Le songe du soldat

Il vogue. Un bateau le porte
à sa maison. Et, d'un saut,
il va, bousculant la porte,
se pencher sur un berceau.

Sa femme, en battant des mains,
bendira vers la barrière;
les géraniums du jardin
rutilent de lumière.

Dès le seuil, baisers, transports,
dès le seuil larmes très douces.
— „Quel silence”. — „L'enfant dort.
Viens vite voir comme il pousse”.

— „Mais ta santé, ma chérie?”
— „Excellente, tu le vois.
Dieu soit béni, tout s'oublie,
tout reprend comme autrefois...”

N'as-tu pas faim?” — „Dieu m'en garde.”
— „Un peu de thé, tout à l'heure?”
— „Non, laisse. Que je regarde
toi, notre fille et ces fleurs”.

1

Znaczną część drogi z Berlina do Eisenach, nad którym wznosi się przastary zamek Wartburg, odbywamy autostradą. Wielkie to osiągnięcie w technice budowy dróg, zapewniające maksimum

Autostrada omija wsie i miasta, biegnie przez miejsca najbardziej puste i nawet w kraju gęsto zamieszkanym zdaje się mknąć ziemią bezludną i niczyją. Na autostradzie nie spotkasz nic prócz szybko dwiema jej stronami w dwie strony pędzących maszyn. Autostrada narkotyzuje swą monotonią i żadna podróż nie usposabia w równym stopniu do milczenia, zadumy, drzemki, a nawet głębokiego zaśnięcia. Mniejsza o pasażerów limuzyn, czy konwojentów ciężarówek, ale grozi to także kierowcom. Przewidziano tę niedogodność. Aby ożywić i utrzymać w świeżości uwagę kierowców umieszcza się pośrodku sztywnej arterii pasmo zieleni o urozmaiconej roślinności. Ale i ta „rozrywka” staje się w końcu monotonna nudna. Wyteżona w dal przed nami autostrada zaczyna przypominać niekończący się chodnik tkany w trzy pasy, dwa popielate po brzegach i zielony pośrodku. Chodnik przeistacza się pomalu w coś ruchomego. Znużonym oczom zdaje się coraz częściej, że auto stoi drżąc pomrukującą, a mknie z nim razem tylko taśma nawinięta na uciekający do tyłu pejzaż. Próbuje bawić oko mijanymi widokami. Zagaje, lasy, pola; na polach także nikogo i nic oprócz chmurnego zimna; wiosenne roboty właśnie skończono. I znowu — zagaje, lasy, pola. Teraz równina gnie się, faluje i fałduje — to już chyba zaczyna się Turynia. Kierowca otwiera radio; częstuje go papierosem — senność kusi zapamiętałe. Spostrzegam, że mimo brzęku radia moi towarzysze podróży: Mieczysław Jastrun i uroczą pani Christa drżem w najlepsze; kierowca czuwa. Przyglądam się mijanym ciężarówkom. Nawet największe i najbardziej „robocze” są śliczne, czyste, a nade wszystko — wesoło kolorowe: niebieskie, żółte, zielone, lśniące od starannie utrzymanego lakieru. Trzeźwieję się żalem: czemu nasze są takie zgnilo-bure, posępne i „toporne”? Usypiam z żalu. Budzi mnie głos Jastruna, który mówi: „Achtung, Hirsche!”. Prawda, autostradę urozmaicają jeszcze wyskakujące ze słupów drogowskazowych drewniane ramiona z napisami. W okolicach lesistych pojawiają się napisy ostrzegające, że jelenie mogą przebiegać drogę. „To ładnie — mówię rozrzuconia — że pomyślano i o jeleniach”. „Nie tak o jeleniach, jak o autach — trzeźwi mnie Jastrun. — Przy tym pedzie nagle spotkanie z jeleniem? Katastrofa pewna!” No, naturalnie. Ale w każdym razie i nieopatrzny jeleni wyjdzie dobrze na takim ostrzeżeniu. Każda rzecz tego świata ma dwie strony, a często więcej; wszystko jest wieloznaczne... Zachęcona jelenim ostrzeżeniem czytam inne napisy drogowskazów. Autostrada na pewnej przestrzeni biegnie między dwiema polami rozdartych Niemiec, jest częściowo trakcją i dla strony zachodniej. Widzę napisy w różnych językach. Także rosyjskie. Prawda, prawda, w NRD stacjonują jeszcze wojska radzieckie — napięcie międzynarodowe. Usypiam z napięcia międzynarodowego. Budzi mnie melodia. Co to za melodia? Nie z radia samochodowego się rozlega. W radiu coś właśnie gałdą. Melodię słyszę w sobie. To piosenka Ives Montand: „Les routiers”. Nuć w myśli:

La route est un long ruban
Qui défile, qui défile
Eile se perd à l'infini
Loin de villes, loin de villes...

I przewija się refren:

Si tu veux vivre longtemps
Attention à ton volant...

Nigdzie te słowa nie są aktualniejsze niż tu, na autostradzie. Lub może aktualne są wszędzie w naszym wieku cywilizacji mechanicznej, w naszych dziejach śmiertelnie nujących wskutek ustawicznej niepewności wymagającej napiętego czuwania. Jakże często, gdy biorę do ręki — mówiąc przenośnie — „kierownicę” bodaj najdrobniejszej sprawy własnej czy cudzej, powtarzam sobie:

Attention à ton volant,
Car si tu reve un seul instant...

Lecz oto skręcamy niebawem na zwykłą szosę. Przejeżdżamy środkiem wiosek i miast. Kolorowe domostwa schludnie, ozdobnie i zacisznie siedzą w seledynowej zieleni; okrodki rozkwitają pakami grusz i czereśni; gładkie ulice i uliczki pełne są ruchu przechodniów — życie! Blask wystawowych szyb, rowery, motocykle — miłamy Eisenach. Za miastem auto pnie się już lasem pod górę. Stajemy na zakręcie tworzącym rodzaj polanki, skąd bardzo struma droga wiodzie do zamku pod cieniem starodrzewu. Amatorów mogą wjechać do zamku na osłach, które przylgają się samochodom, jakby zdumione swą nieoczekiwaną szansą w takiej konkurencji. My wolimy iść pieszo. Jest przedwieczorna godzina, zimno i wietrzno, ale bardzo majowo. Lasy szumią, powietrze pachnie, skupienie starych gałęzi okrytych

świeżym listowiem dźwięczy od wieczornego chóru płaków; kosy gwizdzą z wiosennym uniesieniem.

Na dziedzińcu zamkowym już się kręcą wcześniej przybyli goście. Stoją i samochody, nad innymi góruje wysoki kryty wóz wsądnobylski radia; snadź j e s t jakaś okólna droga, którą można wjechać tu autem.

Wartburg to średniowieczny zamek zbudowany w XI wieku na ostrym szczycie spadzistej góry przez Ludwika Skoczka, markgrafta turyńskiego. Legenda mówi, że wspiały się na ów szczyt książę miał jakoby powiedzieć: „W a r t e mal, Berg, du wirst mir eine B u r g werden”; stąd nazwa

wy... kwitnące róże. Ta legenda była również opisana we wspomnianych czytankach mego dzieciństwa i wyskakiwała mi niedługo z oczu. Teraz oglądam ją wymalowaną na ścianie zamku. Odbudowując i odnawiając Wartburg w połowie XIX wieku, pokryto jego wnętrza kalkami. Romańskie łuki, stropy i kolumny, które przywykliśmy widywać w kamiennej (choć może wtórnej) nagości, wyglądają w pstrych arabskich jak imitacja stylu muryńskiego.

Jedno z malowideł, zdobniczymi floresami otoczonych, przedstawia słynny turniej śpiewaków, jaki pod mianem „wojny wartburgskiej” odbył się tu w XIII wieku z udziałem najsławniejszych „minnesängerów” tego czasu. I my przybyliśmy do Wartburga na rodzaj takiego tur-

rze niemiec, aby radzić nad sprawami ważnymi dla ich narodu. Lecz to jest naród, z którego wyszedł Hitler, i naród, z którego wywodzi się największy pisarz pierwszej połowy XX wieku — Tomasz Mann. Obchodzi nas, jaka myśl w tym narodzie zwycięży i jaka go zjednoczy.

3

Zachodni goście Wartburga prezentują na pewno różne postawy filozoficzne i polityczne. Ale ma się wrażenie, że znaczna część to przedstawiciele różnych sekt i wyznań religijnych; przynajmniej dawali nam się chętnie poznać w przelotnych rozmowach i towarzyskich zbliżeniach; byli jakoś szczególnie skłonni do przyjaznego kon-

MARIA DĄBROWSKA

WARTBURG

czyli
pisarze
jako
ludzie
rozmyślający

Wejście na trybunę przedstawicieli Niemiec zachodnich budzi nasali ożywione zainteresowanie. Coś nowego! Coś innego! Ale ta inność nie okazuje się nowa. Ani tym bardziej — młoda. Sam zresztą mówca jest raczej starszym człowiekiem. Sylwetka dosyć godna, twarz inteligentna o ciężkich powiekach i pełnym finezji uśmiechu; w prawidłowy łuk wykrojone wargi osłonięte są głębokimi bruzdami sfaldowanych policzków. Mówi od niechęci, trochę matowo i głuśnie, lecz nie bez kokieterii. Wygląda na profesora starej daty (jest pono krytykiem czy wydawcą, albo jednym i drugim), mającego poczucie swej wyższej wiedzy, ale nie pragnącego jej narzucać, natomiast chcącego i lubiącego się podobać. Ma zmysł humoru, włada zgrabnie lekką ironią i dowcipem, rzecz, która zawsze sprawia słuchaczom przyjemność. Mówi „z głowy” bez pisanego tekstu, co też jest zaletą (nie każdemu, niestety, dostępna) publicznych wystąpień oratorskich.

Myślą przewodnią referatu jest, że nieprzemijające pierwiastki w literaturze stanowią wszystko to, co się wywodzi z miłości bliźniego, miłością się kieruje i do miłości prowadzi. Nienawiścią można tylko niszczyć; budować, tworzyć lepszy świat można jedynie kierując się miłością. Dużo i długo słyszymy o miłości. To są inne wielkie słowa jak te, których my używamy, ale to są znów tylko wielkie słowa; mówcy trudno się z nich wy dostać poza czcigodne ogólniki. Zaczynam teraz wyżej oceniać zalety referatów posługujących się metodą marksistowską. Tam nie było przynajmniej ogólników. Marksizm jest świetną szkołą precyzyjnego myślenia; wprawdzie miałkie umysły zamieniają go zbyt często w oschłą scholastykę, ale to inna sprawa. W marksistowskim ujęciu wiem zawsze o co idzie, z czym się godzę, a z czym chciałabym się spierać. Tu jestem jak we mgłę. Ma to pewien urok, rzeczy widziane poprzez mgłę nabierają czarownie fantastycznych kształtów. Lecz mgła nawet w pogodzie nuży w końcu i czymś zagraża, coś dopiero w ludzkich umysłach. Czuje, że nie tylko ja, sala zaczyna się nużyć, udany mówca traci jej zainteresowanie. Odczyta je na chwilę, gdy przejdzie do spraw konkretnych, ale będzie to już zainteresowanie raczej krytyczne. Poruszenie, szept, a nawet okrzyki dezaprobaty wywołuje ustęp mowy, w którym prelegent oznajmia, że przeszedł wiele, był i na wozie i pod wozem, długo cierpiał walcząc na froncie; ale — powiada — gdy już dostał swoga rannego czy też jeńcem do swych rąk, to nie widział w nim wroga, lecz cierpiącego człowieka, bliźniego, któremu należy z miłością pomóc. „Auschwitz! Aus-



Wartburg. Przypomina mi to podobnego rodzaju legendarną „etymologię” nazwy Trzebnica. Pamiętam to z książki mego dzieciństwa, która nosiła ogólny tytuł „Snopek” i stanowiła rodzaj „Wypisów”. Jedną z czytanek owej książki głosiła, że jakiś król polski, czy książę piastowski chcąc się odwzajemnić za gościnę w żeńskim klasztorze okolic Wroclawia zapytał, co klasztorowi potrzeba. Ksieni, która była Niemkinią źle mówiącą po polsku, odrzekła na to: „Trzeba nic”. Stąd wywodzi się rzekomo nazwa miasteczka Trzebnica, któremu dziś na pewno wielu i zechy potrzeba.

Ale nie tylko bań o nrzwie Wartburga kojarzy mi się ze wspomnieniami dzieciństwa. Także i sam zamek. Tu przecie żyła jakiś czas średniowieczna święta Elżbieta, królowna węgierska wydana w 14-tym roku życia za landgrafta turyńskiego, Ludwika IV, także świętego, który zmarł w czasie wyprawy krzyżowej, gdy Elżbieta miała 20 lat. Młodziczka wdowa, prześladowana przez swągiera pretendującego do panowania nad Turynią, była bardzo miłośnią i, — jak to nieraz czyniły „złe dzieci” bogatych domów, miała zwyczaj wynosić do bro pałacowe ubogie i chorym okolicy. Raz o zmierzchu zdybał ją na tym srogi książę, a gromiąc podejrzaną wyprawę Elżbiety odchylił brutalnie poję płaszcza; z płaszcza, obciążonego darami dla ubogich, wysypały się na śnieg zimo-

nieju. Tylko nie pieśni będą tym razem współwznowić, ale myśli. Mają się tu odbyć dwudniowe obrady pisarzy z obu republik niemieckich na temat: „Nieprzemijające pierwiastki w twórczości poetyckiej”. Cel spotkania jest literacki, ale to co usłyszymy będzie w jakiś sposób wyrazem, a co najmniej odbiciem dwu odmiennych poglądów na rzeczywistość. Niebawna to rzecz być zaproszonym na takie spotkanie „dwa światów”, mieć sobie daną możność usłyszenia na własne uszy głosu przeciwnej strony. Gość czuje się tym bardziej przejęty, że odmiennie postawę reprezentować tu będą dzieci jednego narodu rozdzielonego skutkami wojny. Wprawdzie linia podziału na „dwa światy” nie biegnie bynajmniej ani w Niemczech, ani w żadnym kraju, granica państwowa, ale w myśli obyczajów naszego czasu tylko spotkaniem „paszportowe” pozwalają na jawną dyskusję się dwu „stron”. Jednak w tej chwili nie to jest istotne; istotne jest, że dyskusja zaczyna wszędzie toczyć się nie o pogłębienie „linii podziału”, lecz o znalezienie mimo wszystko możliwości współistnienia, a nawet współdziałania ludzi różnie myślących. Wartburgskie „Dichtertreffen” (w niemieckim języku „Dichter” oznacza nie tylko poetę lecz i prozaika) nie rozlegnie się po świecie takim echem jak wielkie międzynarodowe kongresy i konferencje. Po prostu zjechali się pisa-

taktu z całkiem nawet obcymi ludźmi. Jest i sporo pastorów, pastoremu też (a razem pisarzowi) oddano przewodnictwo narady. Modlitewnym gestem składał ręce zapraszając do głosu, wielkie czarne oczy jarzyły mu się manifestacyjną żyłczością dla domniemyanych przeciwników.

Słuchamy uważnie przemówień „naszej strony”. Znani i cenieni pisarze myślą prawidłowo i mówią gładko wedle wszelkich obowiązujących wskazań ideologicznych. Więc że nieprzemijające jest w literaturze to, co wyraża typowe cechy swej epoki, co wydobywa z nich postępowy nurt zdążający ku wyzwoleniu człowieka, co trafia w sedno centralnych spraw politycznych — społecznych danego czasu. Prelegenci przytaczają piękne i trafne cytaty z wielkich klasyków, zwłaszcza z Schillera. A myśli słuchających toczą się swymi drogami, jak niedosłyszalne wariacje na temat głoszonych słów. Moje sądosyć niesforne. Myślę na przykład, dlaczego te prawidłowo zbudowane wypowiedzi miłych, a na pewno mądrych i twórczych ludzi są aż tak dręczące podobne do tego, co usłyszeliśmy na dany temat i u nas w referacie pisarza, artykule uczonego, lub — trochę mniej sprawnie wyrażone — w pracy magisterskiej studenta czy wypracowaniu maturalnym ucznia. Myślę dlaczego młoda, bo przecież od niedawna realizowana idea socjalistyczna brzmi

chwiltz!” — rozlegają się wzburzone głosy na sali, a mnie przypominają się strzelane jak psy bezbronne, nieszczęśliwe dzieci. Reakcja sali jest niedwuznaczna, wytworny starszy pan stracił kredyt. Nie dlatego, abyśmy zaprzeczali, że byli na froncie żołnierze niemieccy lotosiści dla jeńców i rannych, bo na pewno byli; ale jakoś czuje się, że ten właśnie orator nie jest powołany do mówienia o takich rzeczach; że raczej powinien mówić o winie i pokucie. Podobnie mi się reakcja sali, jej wrażliwość na obłudny frazes i nieprawdę. Ale chochlik sceptyczny podsuwa niegrzeczną myśl, że i po naszej stronie słyszy się często frazesy i nieprawdę; i że słucha się ich w milczeniu myśląc tylko z pełnym rozpaczy zniechęceniem: „wszystko nie taki”. Relacjonując tu, co myślałam wtedy w Wartburgu. Teraz, gdy późną jesienią spisuję tamte wiosenne wrażenia, rzeczy wyglądają już inaczej. Już i u nas ludzie zaczęli mówić co myślą, tylko że niestrawność duchowa długotrwałego nadmiaru przemilczeń nadaje czasem wyrazowi prawdy charakter torsji. Skoro jednak doprowadziliśmy do zatrucia organizmów złą strawą, musimy ścierpieć przykre tego skutki.

Lecz wróćmy do Wartburga. Mowa na cześć miłości z jej prowokującymi konkretnymi przykładami znalazła odpowiedź w kilku replikach. Przemawia sympatyczny jegomość w średnim wieku, komunistą z zachodnich Niemiec (przybył stamtąd i komuniści), podobno krytyk literacki — poznam go później w rozmowach jako uroczego i niepowszednio światłego człowieka; przemawia żarliwie poeta z NRD, który srodcie pono ucierpiał o sobiście do hitleryzmu; przemawia osiemdziesięcioletnia pisarka z zachodnich Niemiec; także straciła wszystkich bliskich w obozach hitlerowskich. Wszyscy głoszą konieczność nienawiści do zła. „Pastor-patriota” z NRD oskarża się o to, że za mało żywił nienawiści do hitleryzmu i nie przeciwstawiał mu się dość silnie. Za mało nienawiści do hitleryzmu — powiada — pograżyło świat w morzu krwi i łez, doprowadziło do hańby obozów śmierci, do komór gazowych i ludzi przerabianych na mydło. Nikt nie lubuje się w uczuciu nienawiści, ale chcąc stosować miłość bliźniego, trzeba mieć w sobie dość nienawiści dla zła, które bliźniego hańbi. Taki jest ogólny tenor przemówień wywołanych niezręcznym passusem zręcznej mowy eleganckiego apostoła miłości. Przewodniczący pastor — błagalnie składając ręce stara się słodczyć spojrzenia i miodopłynnymi słowami pogodzić zwaśnionych, a czyni to wcale nie głucho. Lub może tak mi się zdaje, bo mówi mniej więcej to, co i ja nieraz myślę. Co nawet szepczę mojej sąsiadce-komunistce. „Może należałoby — mówię — lepiej ustalić terminy. U nas jest rozróżnienie między pojęciami: nienawiść i święty gniew”. Otóż po chwili pastor wprowadza to rozróżnienie. Słyszę go, jak mówi o „Zorn” (gniew), u sprawiedliwym i koniecznym w walce ze złem, i o „Hass” (nienawiść), która jest uczuciem zaślepiącym i bezpłodnym. Dyskusja wszczęta przez wielkie słowa i ogólniki pobrzmiwa coraz silniej akcentami filozoficznymi; nie darmo jesteśmy w kraju „myślicieli i poetów”; to się i dziś jeszcze odczuwa, jak łatwo jest zejść albo wnieść się Niemcom na te tory. Nie darmo też jesteśmy w zamku, gdzie Luter, hawiać w gościnie u książąt turyńskich, rzucał tu kalamazrem w diabła „Pastor-patriota”, zwolennik strony budującej socjalizm, krwisty, jowialny, świetny mówca i dyalekt, wygląda nawet cokolwiek jak Marcin Luter ciskający kalamazrem w szatana. Krzyżują się cytaty z Biblii, komentarze do cyt; zagadnienie dobra i zła, miłości i nienawiści wzniosło się w tak właściwe narodzi niemieckiemu regony dramatu faustycznego.

4

Swoisty akcent wnoszą do dyskusji pisarz z przemysłowej Westfalii (zachodnie Niemcy), noszący polskie nazwisko, mocno już zniekształcone. Twarz ma okragłą, pulchną, żywej barwy, chętnie się śmiejącą; jest w niej coś rozumnego i zarazem coś naiwnie prostodusznego. Umysł skłonny do filozofowania, jak przystało na Niemca, lecz i nie stroniący od obrazowej konkretności. Jest to człowiek o dobrym smaku. Przemawia skromnie i wesoło; nie czepiają się go wielkie pretensjonalne słowa, nie operuje wymiagającymi ogólnikami. Niczym nie prowokuje, choć on jeden porusza bez ogródek i tematy drastyczne; owszem, jawnie zaczyna stronę komunistyczną. Z jakąś niebrzbąjącą prostotą pełną humoru mówi o małych mankamentach życia w NRD, jako o symptomach głębiej sięgających niedowidzeń. „W restauracji dworca N. — opowiada m. in. — poprosiłem o kieliszek kromiaku. Czekając oglądałem na ścianach sali wielkie napisy opiewające, że dopiero socjalizm uczynił kulturę własnością mas, że lud jest gospodarzem tego lokalu. dbając o jego czystość i piękno. Przez ten czas kelner przykro mi zamówiony kornik. Przyskro mi, ale zobaczyłem, że brzegi kieliszka są brudne. Znać na nich ślady ust mego poprzednika. a nawet okrucycho spożywaną przez niego zakąskę. Drodzy przy-



dyskusji była może taktyka, lecz taktyka obliczona na osiągnięcie wielkiego celu. Tak sobie to wszystkie tłumaczyłam, ja, gość przyjazny, ale postronny i mnóstwa rzeczy nieświadomy.

5

Zamek wartburgski ma dwięćdziesiąt czworokątne bastiony, na jednej z nich jest krzyż, po drugiej pną się bluszcz. Ma jeszcze kawałek zębatych murów, a omszone szyby potężnych ścian zaledwie tu i ówdzie zlagodzone są późniejszymi ładnymi wykuszami, obiegającymi piętro gankami, szalowaniem z czarnego dębu, szaro-białą wyprawą. Ale część zamkowego gmachu zamieniona jest w nowoczesny hotel. Bo prócz kwadrans poświęconych dyskusjom i gadzinom przerwy obracanych na komentarze do toczonych dyskusji, są jeszcze w Wartburgu noce, w które jedni spacerują na zimnie przy księżycu, inni śpią, a jeszcze inni rozmyślają.

Pokój, który zajmuję, wygląda jak panieński pokój z końca XIX wieku; białe tapety w bukieciki róż, ciemne polyskujące meble, atmosfera bezpieczeństwa i zacisżności; tylko romanskie łuki okna i niezmierna głębokość jego framug przypominają mi, że jestem w średniowiecznej budowlu.

Ostatniego wieczora wracam późno, zbliża się już północ, gdy wszedłam do pokoju w rzyżczy. Mienili się dziwnie, to zapadając kurczowo w ciemność, to rozwidniając się, jakby ziewał. Staniem przy oknie wiszącym nad przepaścią. Po niebie cwałowały chmury nalane białym światłem. Raz po raz wyskakiwał z nich księżyc w pełni, świecił chwilę i znów pokrył go chmury. „Do diabła — pomyślałam — zupełnie jak nad zamkiem Konrada Wallenroda czy Litawora“. Wtedy właśnie nastąpiła wyrwa między natłokiem chmur; księżyc wypłynął na dłuższą w rozległy obszar nocnego lazuru, krajobraz widać było teraz jak na dłoni. Pod oknem na stromym zboczu kiwa się od wiatru kwilnąca czeresnia. W dolinie, ku której zstępują lasy i bory, leży miasteczko; za dnia mówiono mi, że to już jest w Niemczech zachodnich. Księżyc świeci tak mocno, że dostrzegam niemal różowość dachów. Lecz myślę nie o pejzażu.

— „Dyskusje, komentarze do toczonych dyskusji, rozmyślanie — dumam — są jakby trzema stopniami prawd, o których mówi Mickiewicz w „Zdaniach i uwagach“:

Są prawdy, które miedrzece wszystkim ludziom mówić,
Są takie, które szepcze swemu narodowi;
Są takie, które zwiera przyjaciół domu;
Są takie, których odkryć nie może nikomu.

„Tak było, jest i będzie zawsze; i może tak być powinno — rozważam. — I tu jednak działa prawo zmienności. Gdy zmniejsza się do minimum ilość prawd (czyli sądów najbardziej adekwatnych z rzeczywistością lub z naszym o niej wyobrażeniem), które mówi się wszystkim, szepcze narodowi, a przynajmniej zwiera przyjaciół; gdy zaś to rośnie do niezwykłych rozmiarów ilość prawd... których odkryć nie można nikomu“, wtedy powstaje dręcząca i niebezpieczna świadomość zakłamania życia.

Myśl i serce człowieka są w stanie znieść tylko pewną nieuniknioną ilość prawd, „których odkryć nie można nikomu“. Istnieją w duszy człowieka rzeczy nieujawnialne, ale nadmiar ładunku rzeczy nieujawnionych gnije w naszym wnętrzu i wówczas pojawiają się stany gro-

— Mylisz się — odrzekł diabeł — nie bez namysłu. — Przyznaje, że ludzie, co tego rzetelnie pragną, istnieją w każdym kraju. Więcej — powiem, ci ludzie byłiby dla mnie groźni, gdyby nie to, że są nieszczęście nieliczni i nieliczne mają we świecie „serca swojego rodzaju”, jak mówi wasz Mickiewicz. Dlatego nazywam ich „geniuszami sieroćmi”. Nikt się do nich nie chce przyznać; zanim zdolają się przeciw mnie uczynić, zniszczą ich własni bliźni. Ja do takich ludzi nie mam dostępu bezpośredniego.

— Ja też nim również; a cóż ty myślisz, że kapitaliści obeszliby się bez diabła? Ale nie chcesz się przedwcześnie, na razie śledzą oni tak metodą przestępstwa. Albo na przykład — wylew płynnej stali do form odlewniczych. Regulując ten proces przy pomocy telewizji chronią robotnika przed bezpośrednim zetknięciem z żarzem i wzywają zwierzadła topionej stali. Ale dla rzeczy, do rzeczy... Ja więc nie potrzebuję technicznych wynalazków, choć owszem, chętnie pomogę ludziom tak je udoskonalić, żeby na brali cech diabła widzącego i słyszającego myśli. Ja widzę je bez tego go, zwłaszcza te, które sam produkuje. Otóż poprzez wszystko, co

No i do dochodzimy do rzeczy najważniejszej, podstawowej. Aby „Warmia Mazur” przestały być „pamielnikiem historyczno-literackim, magazynem „dziej” i „kronik”, konieczne jest wypracowanie odważnie do współczesnej problematyki życia Mazurów i Warmiaków. Nie rościjmy sobie bynajmniej pretensji, do milana Kolumba – odkrywcy Ameryki. Te sprawy są do rozstrzygnięcia w zeszłym „Warmiu Mazur”. Świadczymy o tym choćby artykuł E. Martuszewskiego „O „manowcach Mazurów” w 2-3 n-rze „Warmii i Mazur”.

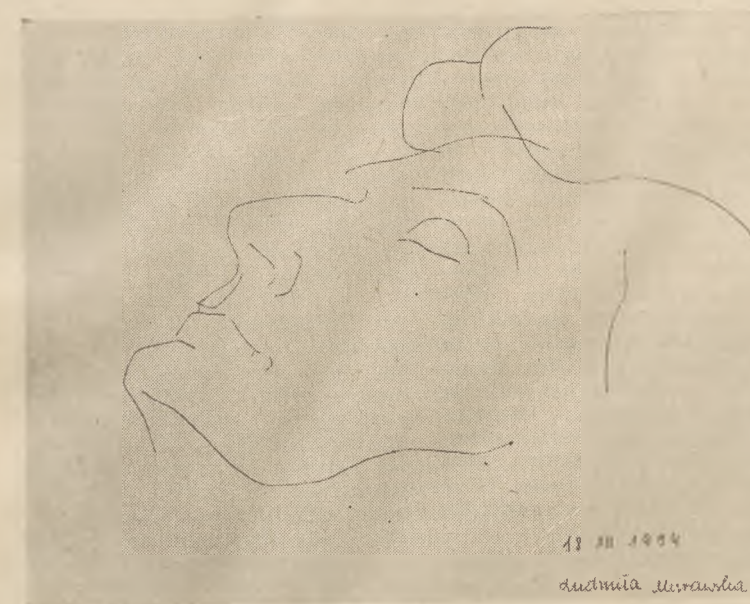
Niech redaktorzy „Warmii i Mazur” nie wiedzina nam za złe tego wszystkiego, co napisałem na poprzednich stronach. Jest trochę w zbyt ostrej formie, dyktowałam jednak nie złośliwość, lecz troskę o sprawę Warmii i Mazur, tych bez cudzy słowy.

Andrzej Perkowicz

Kazimierz Dziewanowski.

ZOFIA NAŁKOWSKA

Z „Zeszytu w czarnej oprawie”



Zamieszczone poniżej notatki Zofii Nałkowskiej wybrane zostały z jej „Zeszytu w czarnej oprawie” stanowiącego rodzaj indeksu. Nałkowska zaprowa-
dziła ten notatnik, by móc łatwiej orientować się pośród nowych ludzi
w powojennym życiu literackim. Wpisywała systematycznie to, co mogło być
dla niej jakimś znakiem szczególnym. Ludzi, których znała dawniej, nie
wpisywała.

Notatki te początkowo mogą robić wrażenie jakiejś sensacji. Intymnych za-
pisów. W pewnej chwili czytelnik może poczuć zawód, że autorka nie dopro-
wadziła ich do końca w formie portretów czy charakterów. Potem zrozumie,
że jest to pewnego rodzaju przewodnik, szukanie znaków rozpoznawczych.
Potem z tych zwięzłych sądów widać wyraźnie samą Zofię Nałkowską.

Braun Andrzej (w samochodzie do Nieborowa i tam). Cienki, nieduży, sucha, dobra twarz. Przemawia inteligentnie i zasadniczo. Własne wiersze słabsze. IV.51 — duża krytyczna ocena Różewicza, bardzo zasadnicza, w tych kryteriach trafna (napastowana bezmiennie przez Jastruna na Młodzieżowym Wieczorze).

2.III.52. W „Nowej Kulturze” ostry „Pamflet na rówieśników czyli o tchórzostwie”. Nagle bardzo zajadły ma takich, jak jest sam. 53. Duże przemówienie (czy na Prozie?). Cyta-
ta ze mnie: „Piszę dla dorosłych” (zamiast: „dajcie nam pisać dla dorosłych”). Powieść „Lewanty” rozważana w jury Nagr. Państw.

Berowski Tadeusz, Świętne, jaskrawe, barbarzyńskie, krótkie rzeczy obowozu. Brak złudzeń, troszkę niemoralności. Później „Kamienny Świat”) jakieś ironie formalistyczne. Wraz ze mną i Sandauerem schla-
pany przez Lecha Budreckiego — za moralność burżuazyjną. Sam coś wspominał o mnie źle — nie wiem, gdzie. Czy w tym wielkim artykule zamówionym przez Borejsę — po-
śród Brezy i wszystkich lepszych ko-
legów? Długo dość nadepty i niedo-
strzegający. Teraz — VI.51 — przy-
wód pracy w Komisji Młodzieżowej — dość tolerancyjny. Po różnych „odkryciach” w referacie Siekier-
skiej powiedziałam doń przechodząc:
„Jako pisarz wiedział pan o tym dawno”.

Na trzecie posiedzenie Komisji nie przyszedł. Był w szpitalu, ratowany po zatruciu gazem. Nazajutrz już nie żył.

Czesko Bohdan: „Pokolenie” w paru numerach „Twórczości”. Duże zalety. Nadmiar pomieszanych ze sobą osób. Nie opanowanie wyrazu, inteligencja, kultura, nawet psychologia. Na ogół wysoko ceniony. I słusznie. Czasy „oporu” tutaj. Opi-
sy scen ulicznych, psychologia prze-
zwyczajonego strachu, także miłość.
Pisarz.

II.52 — drukował jeszcze dalej to „Pokolenie” w „Cienkach Expressu(?) — zawsze interesujące, dobrze pisa-
ne.

29.II. — widziany na Walnym Zebraniu Warszawskiego Oddziału ZLP. Zawód — twarz drobna, blondyn, rozczochrany, goła szyja.

Na Komisji Młodych — zmanierowany, nadepty, bez ustanku rysuje i maluje.

IX.52 — Na zebraniu Wyborczym ZLP, wybrany na zastępcę posła. Zupełnie inny, gładko uczesany, tę-
szy, doroslejszy, w świetnym ciem-
nym garniturze. Odpowiedział na wybór dziękując, całą autobiografią, syn buchaltera, nędza, głos cichy. Zupełnie miły.

Hamera Bogdan: Powieść — pro-
dukt społeczny. „W roku 1941 byłem drwalem na Syberii”. Dość surowa ocena lekceważącego traktowania przez redakcję twórczości młodych. Zwiłki, uparty brak odpowiedzi. Pisana dobrze, zgodna z postulatami dnia — a niezależna i mocna. Cie-
ple słowa o obyczaju w ZSRR. Do rozważenia przez ZLP. Autor po-
wieści „Na przykład Plewa”.

Według H. Michalskiego (w Radio) powieść jest obrazem obiekty prze-
mysłowego, „wykazuje jak klasa ro-
botnicza staje się twórcą rzeczywi-
stości. Prosto, żywo i plastycznie. Błędem jest, że nie ukazuje roli Partii”, choć proces nie jest żywo-
łowy. Zarzuca niedociągnięcia arty-
styczne.

Według Putramenta: najciekawszą stroną powieści H. jest awans spo-
łeczny, „widziany od wewnątrz, od
stony bohatera”. Traktuje go na
początku „poklepująco”, ale nie
idealizuje. Oddanie motów skra-
dzionych mniej udane, lepsza walka
z rywalem. Szeroki oddech politycz-
ny. Nie technologia, jak u Wilczka,
nie podręcznik produkcji cukru, jak
u Mirosława Kowalewskiego. Począ-
tek gorszy niż dalej. Partia na dal-
szym planie, jej przedstawiciel zja-
wia się pod koniec. Zachowuje się
co najmniej dziwnie (Nowa Kul-
tura).

Według Wandy Leopold (nieznany
mi krytyk, inteligentny, analizujący)

— zjawisko wybitne. Jej zarzuty
motywowane.

Bardzo dobrze zaczęła recenzja,
później mnóstwo zarzutów.

Dyskusja na trzeciej Prozie. Okropna. Naprzód jego taktowne
exposé (młody, niebrzydki, w munda-
turze ppłk.). Przedtem dobre zaga-
żenie Macha, już z zarzutami. Póź-
niej zarzuty Skierskiego, później Lu-
cjańska az nieprzyzwoite, obrona No-
wickiego, skandalik obrażonego
Skierskiego („wypraszam sobie”) za-
żegnany przez Macha.

Holda Ryszard: „Sprawy pow-
szeczne” — poezje, mały tomik. Świętny talent, siła i rozum. Calko-
wita nowoczesność, „deklaratyw-
ność” środkami śmiałego obrazowa-
nia, świeżości, ognia. (—)

Jackiewicz Aleksander — „Górni-
cy”. Ścisłe w temacie. Ludzie ze
swoimi losami, prostota, wyrazność,
technika nie dająca się zauważyć,
wszystko widoczne, wypukłe, żywe.
Talent, zyczliwość dla człowieka.
Czas okupacji, kopalnia. Zorientowa-
nie w odcieniach postępowości i le-
wicowości jako motywach charakte-
rów. Styl prawie bezbłędny. Strajk,
różnice charakterów, niezgody —
bardzo dobre.

Przemawiał na czwartej prozie —
duży, ładny, ciemne włosy i oczy.
Pracował za Niemców jako górnik.
Przemawiał dawniej na konferen-
cji w Radzie Państwa (XI. 1950).

Poznany i „rozprawiany” na 50-le-
ciu Anny Seghers w Klubie. Okazu-
je się (przy porządkowaniu papie-
rów), że to on pisał recenzję (zyczli-
wą, uważną) o „Charakterach”. Ty-
lko dziwiły go imiona (nie wiedział,
że to jest literacki rodzaj).

25.V. na Prozie zgadany za „Ja-
na bez ziemi” przez Wasilewskiego
Andrzeja — cokolwiek bronił
przez Koźniewskiego, Lasotę.

Sam o historii tej książki — więc
inteligent, nawet expsychologista,
czytając Malraux — jako komuni-
stę, zaczął książkę pisać w Wiedniu.
Dość zadzierny.

Kuśmirek Józef. „Sprawa Ada-
chowej biedy”, świetny, wstrząsają-
cy reportaż, wolny od pokus literac-
kich. Konstrukcja, spokój. Ani jed-
nego frazesu. Mimo to celowy i efek-
tywny w uwydatnieniu klasowej bu-
dowy wsi. (Nowa Kultura, wrzesień).

X.54 w „Twórczości” sprawozdanie
Berezy z jego „Opowiadań reporte-
ra”.

„Historia jednego konia” — pasja,
surowość, zwięzłość. Ktoś mówił, że
gorsze od tamtego. Niesłusznie. W
Nieborowie (w samochodzie Kuśmie-
rek). Matuszewski mówił w refera-
cie, że „Adachowa bieda” bez po-
zytywnego akcentu! Poznany osobi-
ście — nieduży, czarny, dość nieprze-
makalny. Przemówienie średnie.
Dziennikarz.

Kurowski Edward — „Sprawa Fl-
siaka” (Twórczość, III.51) — pisane
zwięźle, poprawnie i dobrze. Krót-
kie zdania, celowość. O namiętności
do boksu, ucieczka z domu, matka,
śmierć ojca. Zmiana trenera w klubie
sportowym Włókniarz, pedago-
giczne i moralne, jednak mimo to
szczerze, wiarogodne, proste. Rozum.
I tylko to.

Lasota — młody z czarnym czu-
bem. Lewy, bardzo zajadły w zwar-
ciu z Lichniakiem. Trochę racji.

Droga w samochodzie, Nieborów.
Dość opiekuńczy.

Na Prozie IV.51. Zagajał szeroko,
b. konkretnie spotkanie z Młodzieżą.
VI.51. Czynnny, wiele przemówień,
energia, upór, często sympatyczny,
choć zajadły. Na Zjeździe Plenum
Literatów dla młodzieży — referat
unicestwiający wszystkich prócz pa-
ru programowych. Odpierany przez
Boguszewską, Brzechwę, Meissnera.
Melania za. Podobno i Putrament w
ostatnim przemówieniu wykazał jed-
nak pojętność dla spraw literatury —
że lewacelowi, że schematyzm.

Dość surowa krytyka Woroszył-
skiego.

25.II.52. W „Trybunie Ludu” art.
„Więcej uwagi antologiom”. Pełna
złośliwości i dowolności krytyka
„tych wierszy” w antologiach. Skąd
to „antologiom”? Terminy; bezsen-

sownie, najgorsze utwory, grafomań-
skie wierszydła, ignoranci, (w tym
Jedlicki, red. Żywulska), słaby, bar-
dzo dobry — same takie ogólniki.

Mandalian — ależ! Czarny, dziki, z
czubem większym niż Lasota, chy-
ba Ormianin, od 47 roku dopiero
mówi po polsku. Wspaniały poemat
w „Nowej Kulturze”.

IV.51 — imponująca recytacja re-
wolucyjnego wiersza na Młodzieżo-
wym — (pochwała ze strony Da-
browskiej).

X.51. Bardzo dobry, cieniutki ze-
szyt wierszy „Dzisiaj”. Talent, głę-
bokie, rewolucyjne, zachwale i po-
rywające.

II.54 „Plomienie” — więcej niż
cała strona w „Nowej Kulturze”.
Gorące, piękne, dziejowe.

Zieliński Stanisław — „Ostatnie
ogień”. (Fragment w „Twórczości”) **Pisarz**. Zagranica. Nieudany zamach
w Paryżu, kapitan B..., dwaj w be-
retach. Pani Zenia. Wszystko ostra,
publicystyczna satyra. Informacja
odautorska. Samacja, karykatura, ru-
sycyzmy. Ale talent.

X.51. Rozważany na Prozie. Kry-
tykowany przez referenta Koźniew-
skiego, że nie socrealizm. Broniony
przez innych. Po czym przeczytałam
książkę z dużym uznaniem. —
Szczupły, jasny, dość młody, dowcip-
ny w „ostatnim słowie”.

Książka dobra, przeczytana w ca-
łości. Talent, **pisarz**.

XI.51. „Przed świtem”, wyd. II
poprawione.

X.54. W „Twórczości” duża relacja
warsztatowa o tych „Ogniach”.

Żuławski Mirosław — Paryż, tekst
popr., rozmowy. Kultura, talent.
(„Gdybym tego nie powiedziała —
całkowicie napisać koniec na nowo,
nie przerabiał — przestałby mi
ufać.”) „Ostatnia Europa” — świet-
na, mądra, piękna. Zagadnienie jak
w moim Dziuniu Ox. nie zrobione.
„Rzeka Czerwona” (też miła dedy-
kacja) — mądre, prawie nieskazitel-
ne — egzotyka, polityka. Jeden wie-
czór z żoną u mnie (dzięki Brezo-
wej).

IX.53. Jeszcze jeden wieczór u
mnie. Zyciliwy, ale poważny czy
smutnawy — inny niż przed laty w
Paryżu. Za to żona zawsze wesół.

XII.53. Na wieczorze u Brezów.
Opowiada dobrze i ciekawie o po-
bycie w ZSRR. Dostał pierwszą na-
godę za „Portret wroga” w tym
konkursie, gdzie „przewodniczyłam”.

1.54. U mnie na posiedzeniu Za-
rządu Prozy. Mądry i solidarny.

Zukrowski Wojciech. Moskwa,
świetne dowcipy. „macierzynska
opieka”. Talent wybitny.

Dyskusja o... Zarzuty, zwłaszcza
przykry Kuśmirek, zwał blisko
godzinę streszczający książkę „swoi-
mi słowami”. Odpowiedź znowu
świętna, śmiała, polemiczna.

54. Świętne rzeczy o Vietnamie z
rysunkami Kobdej.

X.54. Spotkanie na posiedzeniu...
(niedoszły) mój (wyjazd do Wied-
nia), wspólny długi powrót do do-
mu pieszko z wesolym gadaniem.

Zofia Nałkowska

WILHELM MACH

Żyje w swym dziele

Przed miesiącem redakcja wyda-
nictwa „Czytelnik” ukończyła przy-
gotowanie do druku II wydania
„Pism wybranych” Zofii Nałkow-
skiej. Będzie to edycja dwutomowa,
znacznie poszerzona. Zawrże w sobie
wczesne opowiadania i fragmenty
pierwszych powieści: wzbogaci skąpo
w I wydaniu potraktowany wybór
nowel o zwierzętach i z „Charakte-
rów”; przyniesie czytelnikowi w ca-
łości następujące utwory powieściow-
e i dramatyczne: „Romans Teresy
Hennerl”, „Dom nad łakami”, „Nie-
dobra miłość”, „Dom kobiet”, „Gra-
nica”, „Niecierpliwi”, „Medaliony”,
„Wzły życia”. Równocześnie przygo-
towuje „Czytelnik” do wydania dwo-
tomu esayów i prac publicystycz-
nych Nałkowskiej — z tych jeden zio-
żony z materiałów rekopiśmiennych.
Niezależnie od wymienionych pozy-
cji wydawnictwa nasze planują dal-
sze wydania najpoczytniejszych po-
wieści Nałkowskiej. Nie wyczerpuje
to wszelkie zobowiązania wydatorskie
wobec jej twórczości — i czas chyba,
by — obok „Pism w y b r a n y c h”
— zabrać się do pełnego, seryjnego
wydania „Pism z e b r a n y c h”
Zofii Nałkowskiej.

Z ciężkim sercem przycho-
dzi mi dziś — autorowi
wstępnego szkicu krytycz-
nego do I wydania „Pism
wybranych” Zofii Nał-
kowskiej — wykreślić ze
zdania ostatnie. Pisałem w przed-
mowie: „Piękna droga pisarska
Nałkowskiej zmierza ku wciąż zo-
wym twórczym osiągnięciom”. I pi-
sałem: „Czekamy na nowe książki
Zofii Nałkowskiej”. Mieliśmy pra-
wo, wielbiciele jej sztuki, spodzie-
wać się, mieć nadzieję. Przywiąza-
liśmy się do jej niezmądnzonej w po-
ściepie naszej kultury współczes-
nictwa, do jej czujnego i czulego
na nasz czas słowa — i wszakże
tak była niezmiennie młoda, tak ży-
wotna i w gąszcz życia wrośnięta,
tak ufnie powierzająca ciąg dalszy
powszednich zajęć godzinie jutrzej-
szej...

Miedzy pierwszym i drugim wy-
daniem „Pism wybranych” legła da-
ta nieodwołalna, wszystko zamyka-
jąca.

Zofia Nałkowska zmarła w War-
szawie 17 grudnia 1954 roku.

Zaniemogła nagle, po zwyczajnym
— jak tyle poprzednich — dniu
pracy. W przeddzień choroby, nie-
bolesnej chyba, bo bezprzytomnej,
zwróciła się przed przyjaciółmi ze
swych planów na przyszłość. Po-
rządkowała materiały i już gotowe
części rękopisów do „Życia wzno-
wionego” — książki o ojcu, Wacła-
wie Nałkowskim. Obmyślała układ
wydania swych wypowiedzi publi-
cystycznych i esayów. Uczestniczy-
ła i zabierała głos w dyskusji na
temat życia kulturalnego Opolszczy-
ny — a sprawy i potrzeby opolskie
odczuwała szczególnie żywo, jako
posłanka tej ziemi w Sejmie. „Pa-
miętniki Opolan” były jej lekturą
ostatnią. I tak do ostatniej świad-
omej chwili spełniała pisarskie i o-
bywatelskie powołanie.

Nie zdolała bez reszty wykonać,
co zamierzyła. W ciągu dwu ostat-
nich lat życia przepracowała grun-
townie drugi tom „Wzłów życia”
— i może nad żadną ze swych po-
wieści nie natrudziła się tak wiele.
Budzić musi głęboki podziw owo

poczucie artystycznej odpowiedzial-
ności za ostateczny kształt dzieła
i za jego ślad w umyśle i przeży-
ciach czytelnika — owo pragnie-
nie, by słowo jak najbardziej nie-
omylnie i jednoznacznie przekazało
myśl twórcy. Opłacił się sumienny
wyśkieł. Powieść rozwinęła szerszą
niż w pierwszej wersji panoramę
społeczną. W teatrze wydarzeń
przybyli ludzie podejmujący decyzję
odporu i walki. Czyny uczestników
wrześniowego dramatu uwypukliła
pełniejsza a przenikliwa motywa-
cja historyczna. Indywidualny, oso-
bisty wymiar ludzkich losów zys-
kał w nowych „Wzłach” wymowę
uogólnienia. Ciężar klęski zrówno-
wazyła zapowiedź przemian. Już nie
jest ta powieść tylko obrazem sła-
wości, zdrady i upadku, już nie jest
tylko tragiczną satyrą. Jest epiką
sprawiedliwą.

Nie udało się Nałkowskiej dopro-
wadzić do końca książki o ojcu.
Może po części i dlatego, że pra-
cowała nad nią z aż niewiarogodną
skrupulatnością i pietyzmem, nie-
znużenie gromadząc i sprawdzając
dokumentację, dla każdego zdania
szukając oparcia w dowodach prze-
szłości. Pozostały zapisane arkusze,
notaty, teksty pomocnicze — mate-
riał niepełny lecz wystarczający,
by pracą edytorską przekształcić go
w tom. To sprawa przyszłości.
W obecnej natomiast redakcji
„Pism wybranych” znajdzie czytel-
nik pierwszy jak gdyby rzut mono-
grafii pt. „Mój ojciec”, napisany z

myślą o młodzieży i jej przede
wszystkim dedykowany. Prawdziwy
to klejnot prozy — owa nikła obję-
tością książeczka, urzekająca rzad-
kim połączeniem mądrości i prost-
oty, rzeczowości i poetyckiego uro-
ku, skromnego umiaru w słowie i
wzruszenia.

Pozostały po Zofii Nałkowskiej
tekli luźnych, mniej lub więcej upo-
rządkowanych rękopisów. Trudno
już dziś — w trakcie wstępnych
prac przygotowawczych — orzec, w
jak pokaźnym zakroju i w jakiej
formie wydawniczej dotrże do czy-
telnika jej pośmiertna spuścizna. Już
dziś wszakże wolno zapowiedzieć
jeden zwłaszcza tom: autorka prze-
znaczyła mu nazwę „Zwierzenia”;
będzie on zbiorem nie publikowa-
nych dotąd esayów, fragmentów
pamiętnikarskich, myśli, uwag, afo-
ryzmów — o pisarstwie i pisarzach,
o książkach, o sprawach przeszłych
i nowych, o sobie samej. Wierzę,
że ów przekaz wiedzy o sztuce i ży-
ciu, sumujący doświadczenia tak
bogatej biografii, ów list pisany do
nas skroś wszystkie lata naszego
wieku przez artystę tak wiernego
prawdzie swej epoki — stanie się
godnym uwiecznieniem twórczego
działa Zofii Nałkowskiej.

Dziela, które dumnie i zwycięsko
zmierzy się z przemijaniem, z nie-
trwałością rzeczy, bo bije w nim
żywe ludzkie serce, bo świeci w nim
niespokojna, wiecznie szukająca,
mądra myśl.

Wilhelm Mach

ZOFIA NAŁKOWSKA

Aforyzmy

Są cierpienia, na które jest jakiś
sposób dyalektyczny, jakieś wyjście
z resztką honoru. Są cierpienia,
które nadają się choćby do tego,
by je ofiarować Bogu. Ale jakież
jest sposob na wstyd ubóstwa?

Odnosić się do tego pogardliwie,
być „ponad tym” coś za komizmi!
Tak samo, jak rezygnacja, pogarda
jest czymś, czego nie zauważył nikt.
Żadna mina, najbardziej królewską,
nie tu nie pomoże. Na upokorzenie,
na śmieszność nie ma sposobu.

*

Zaspokojenie straszliwego prag-
nienia: w tym jest rozkosz placzu.

*

Bieg życia w ogóle dlatego tylko
jest możliwy, że każdy w sądzie
o sobie i o związanej ze sobą re-
czywistości innych używa kryte-
riów, niżeli, gdy sądzi innych. Jest
to jakąś moralną samoobroną wo-
bec pewnych życiowych układów,
które są zupełnie nieuniknione, na
które nie mamy żadnej rady. Za-
staliśmy je bowiem gotowe, i wy-
zwolenie się z nich byłoby wysił-
kiem, na który zdobyć się mógłby

tylko mocz moralny, tylko bo-
hater.

Gdyby zaś wszyscy ludzie uświa-
domili sobie winy swoje w tych
rzeczach, na które nie mogą pora-
dzić — to byłoby straszonym po-
niżeniem zbiorowej ludzkiej godno-
ści, jakimś wielkim upadkiem sa-
mowiedzy człowieka.

Tego niebezpieczeństwa zresztą
ucale nie ma, chociaż marzą o nim
takie lekkomyślnie reformatorzy i
moralisci. Bo nawet jeżeli ktoś do-
wie się o tym, że jego czym lub
jego stosunek do danej sprawy jest
zły — to taka świadomość nie zmie-
ni jego sądu o sobie. Każda bowiem
postawa życiowa ma swoje uspra-
wiedliwienie. I jeżeli pomyśleć
uczucie nad rolą, jaką w życiu
ludzkości spełnia rozum, to jest-
to zawsze tylko tłumaczenie, uzasad-
nianie, usprawiedliwianie tego co
już orzekło, zdecydowało i wpro-
wadziło w czyn uczucie. Jest to
zawsze spóźniona motywacja czynu
i sądu. I do tego celu wyłącznie
służą takie wszelkie dewizy i hasła.

*

Myślałam dużo o zwierzętach,
które milczą, nie dziwiąc się. One
nie mają żadnych nakazów moral-
nych. Ich nienawiść i walka, ich
okrucieństwo i cierpienie nie wy-
nikają przecież z ich grzechu. Ani
ich dziwne zbrodnie i ofiary...

Cała pachnąca, śpiewająca natu-
ra przesiąknięta jest męką.

...cierpienia, które człowiek za-
daje zwierzętom, są mniejsze od
tych, które one zadają sobie sa-
me”.

Są mniejsze i jest ich mniej. Ja-
kiż smutek jest w tym, że one mu-
szą żerować na cudzym życiu, że
one nie mogą, nie potrafią inaczej.
Jakiż smutek jest w strachu, któ-
rego pełna jest natura, w samej
nawet płochliwości ptaków... Strach
jest przecież u wielu jedyną samo-
obroną, strach i cierpienie — nie
więcej. Ileż zwierząt nie broni się
ucale, nie mając złudzeń ani na-
dziei. One tylko uciekają, albo na-
wet ucale nie umieją uciekać. I do
ostatniej chwili — oprócz cierpienia,
uczują jeszcze prerażenie — i
umierają w pazurach sępa, w zę-
bach szakala.

*

Pomiędzy szczęściem i nieszczę-
ściem jest wiele szczebli pośred-
nich — do zyskania albo utracenia.

Wszelkie dobro, dające się dot-
knąć i ustyszeć, dające się doznać,
jako zapach i smak — i wszelka
wartość, dająca się wyobrazić —
powinny być bardziej dostępne dla
niewidzących niż dla kogokolwiek
z nas.

Odsunąć jak najdalej granice nie-
widzianego świata — to jest zad-
anie nas, widzących, wobec tych,
którym widzenie jest odjęte.

*

Jak morze — dalekie góry mają
tę cudowną niezależność oświele-
nia i koloru, nietrwałość perspek-
tywy, nieuchwytność konturów i
granic, w których nic nie jest prze-
sądzone — i zawsze jeszcze na no-
wo może się stać. Nic nie jest bez-
powrotnie wiadome a wszystko
jeszcze raz możliwe.

Z przepłatania się mgieł białych,
różowych i zupełnie złotych, z jas-
nozielonych okien między obloka-
mi w niebie, z sygnących się wie-
czorami na szczyty i doliny plat-
ków mosiądzu, z puchów światła
liliowych, jak bez, poprzez wszyst-
kie nateżenia nieprzeliczonych błę-
kitów aż do najciemniejszego, aż
do zupełnie czarnego — wynika to,
co może nie jest prawdziwe, ale
jest prawdopodobne: dobro życia.

Zofia Nałkowska



Rzeźba Hanny Nałkowskiej-Bleckowej

MELCER

wykopkach

znajdzie koleżeńską duszę, która za pewien udział czy noże wprost za parę złotych — pobiegnie dla niego na stację po litra. Tym razem fundatorką była Henia, a wykonawcą polecenia młoda kobieta z kuchni w ostatnich dniach ciąży. Moralność hotelu robotniczego — która powoli ustala się i wyrabia, cokolwiek by się o tym mówiło — nie jest to jeszcze jakaś stała wartość, która wędrowałaby w podróż razem z mieszkańcami. „Soucis d'amour ne vont pas en voyage” — śpiewała popularna piosenka paryska. Troški moralne — również. Młodzież uważa, że w innym środowisku nie obowiązują normy poprzedniego. Na nowym miejscu wytwarza się samoczynnie nowa grupa społeczna, której styl życia może odbiegać całkowicie od stylu życia elementów, jakie się na nią złożyły i której zapalrywania nie są w żadnym razie sumą tamtych zapalrywań, tylko zupełnie nową całością. Tymczasowość sytuacji stwarza możliwości, jakich nie dawało pewne utrwalenie w miejscu stałej pracy, w miejscu stałego zamieszkania.

Więc Henia zafundowała litra. Tu muszę powiedzieć wyraźnie: nie w tym nie widzę oburzającego, że dziewczęta fundują wódkę. Pracują, jak chłopcy, zarabiają jak chłopcy, czasem mniej, czasem i więcej — ich tryb życia będzie się coraz bardziej zbliżał do męskiego trybu życia z chwilą, gdy zaczęły działać te same bodźce ekonomiczne. Natomiast jest oburzające, że młodzież obojga płci przeważnie nie rozumie zabawy bez podmiecenia alkoholowego, które rozluźnia węzły obyczajów i tak silnie naruszone zmianą otoczenia. Zastrzegam się też wyraźnie: nie widzę powodu, żeby, jeżeli już będzie trwał system ekip pomocniczych dla robotów wiejskich — izolować od nich dziewczęta. Mieszkaństwo zawsze izolowało swoje kobiety — i wiadomo, co z tego wynikło. Praca kobiet na wsi jest bardzo potrzebna, kierownicy gospodarstw mówią wyraźnie, że kobiety są tu najbardziej pożądane — zaś atmosfera ciepłarni sprzyja tylko egzotycznym kwiatkom. Moralność kobiety jak i moralność mężczyzny — a to przecież jedna moralność — może jedynie okrzepnąć w atmosferze surowej walki. Nie dziwny się, że w tej chwili przybiera ona postacie, które rażą i drażnią nasze przyzwyczajenia, nie jestem wcale pewna, czy dałoby się osiągnąć faktyczne równouprawnienie, gdyby wyeliminować wszystko złe, które pojawia się na tym etapie, choć nie przeczę, że można i trzeba ścierać zbyt ostre kanty.

Stąd moral trzeci: nie potępiajmy kobiet, które „naśladowały” mężczyzn i nie starajmy się ich izolo-

wać. Cofanie wypadków w rozwoju to zawracanie Wisły kijem. Nadszedł czas, by młodzież traktować jako całość i razem kierować ją ku lepszemu. A teraz jest miejsce na sprawę Heleny.

Henia fundowała chłopcom wódkę na zabawie, czyli przejęła najgorsze cechy kolegów — ale bywa i odwrotnie. Mężczyzna — w tym wypadku starszy mężczyzna — przejął dla wygody najgorsze cechy kobiet. Myślę o towarzyszu Heleny.

Fela, Helena — to jedne z najbardziej typowych kobiecych, jakie spotkałam na drodze. Nie będę bliżej precyzować, kto jest Helena, choć to jej prawdziwe imię — bo jest ona w Polsce dość powszechnie znana z różnych swoich zalet. I teraz, choć ma lat około pięćdziesięciu — stawiała się na wykopki, żeby dać przykład, nie uchyłając się od żadnej roboty. To zgrabna, ciemnowłosa kobieta o zadziwiająco młodym wyglądzie. Na jej twarzy maluje się inteligencja i dobroć obok wielkiej skromności i prostoty.

Spodobaliśmy się sobie i Helena opowiedziała mi o swoim życiu. Matka jej była to uboga wdowa, komornica wiejska. Helena poszła do służby mając lat osiem, kiedy, wedle jej własnych słów, „nie było jej zaa krowy widać”, a przecież to ważne, kiedy ma się te krowy pasać. Po śmierci matki wywiodła do miasta i zdobyła dobry zawód — jest przecież również metalowcem. Wysłała zamaż, straciła jedyne dziecko, owdowiała a po powrocie z robot w Niemczech zetknęła się z pewnym starszym mężczyzną, który jej się spodobał. Mieliby niby wziąć ślub, ale on krepował się rodziny zamożnej i fumistej, którą trzeba dobrze przyjać na weselu, a pieniędzy nie było. Tak przynajmniej mówił. Helena wzięła się do pracy i zaczęła wkrótce bardzo dobrze zarabiać, rosnąc w sławę i znaczenie na zakładzie pracy a potem i w całym mieście, w czym jej towarzysz nie dość szybko się zorientował. Sam też niby pracował i nieźle pracował, ale był leni, lubił wypić i bawić się szeroko z dziewczętami — a potem po prostu zaczął chorować. Zwalili się na niego różne dolegliwości — zwąpnienie kręgosłupa, jakaś historia z płucami, wątroba i coś tam jeszcze. Nigdy nie żył dobrze z rodziną (tą właśnie, która lubiła wystawne przyjęcia) i dzieci jego — już teraz dorosłe — nie mają chęci z nim mieszkać.

I wtedy śmiertelny strach przejął starego figlarza, strach o Helenę. Co on robi, jak ona nie zechce go poślubić? Zostanie na stare lata sam bez żadnej opieki. Zaczyna

więc prześladować kobietę zazdrością, dręcząc wyznaniaми wieczystej miłości, podejrzewając o inne związki. Czy uwierzycie, że pod jakimś pretekstem przyjechał do niej na wykopki i nocował w jej łóżku w pokoju sześciu młodych kobiet? Bał się o jej cnotę, myśl, czy żywicielka nie zdradzi go z którymś z młodych robotników, spędzała mu sen z powiek.

— I emerytury ciągle nie dają, spodziewają się, że przed tym umrę — powiada, uśmiechając się złośliwie spoza jej krzesła, kiedy wieczorem przyszli do mojego pokoju.

A Helena? Helena jest dobry chłopak i lituje się nad nim. Zarabia ponad dwa tysiące i mogłaby sobie żyć przyjemnie i swobodnie, ba, mogłaby sobie zrekonstruować życie miłosne, bo jemu już nie do tego. Taką ma zręczną figurę w swoich spodniach metalowca, taki przyjemny, szczerzy uśmiech. Ale Helena się kępuje. Choć to już nie mężczyzna, utrzymuje go jednak na przyzwoitej stopie. Nie pamięta, że kiedy była wgnanką a on do brze zarabiał, nie chciał się z nią ożenić, pamięta tylko dobre lata, kiedy tulił się do siebie jak kochankowie. Helena chce mieć życie ładne i przyzwoite — i jeszcze teraz znajduje dla niego okoliczności łagodzące, choć kiedy on dostanie emeryturę można by jednak zmusić dzieci, żeby się nim zajęły. Ale można sobie wyobrazić jak ten podstarzały i schorowany adonis prze-raz do ślubu!

Stąd czwarty moral: każda rzecz ma swój czas — a równouprawnienie kobiety, prócz spodziewanych, przynosi jej i nadszodzące obowiazki.

Wódkę zdobyła dla Heni pomocnica kuchenna, która jest w ostatnich dniach przenoszonej ciąży. Zanim wyjechałam, zabrano ją do szpitala. Taką miała miłą, uczciwą twarz, taka była łagodna i przyjemna, że byłam najpewniejsza, iż to czyjaś bardzo kochana żona i — czego nigdy nie robię — spytałam nietaktownie o męża. Odpowiedziała mi w pięć ni w dziesiętność, dopiero potem usłyszałam jej smutną historię.

Nikt się o nią nie troszczy, nikt nie przyzna się do jej dziecka. Nie wiadomo kto jest jego ojcem i ona sama nigdy o tym nie mówi, uśmiecha się tylko smutnie i łagodnie. Co zrobiłaby dawniej taka dziewczyna? Rzuciłaby się do wody. Dzisiaj donosi spokojnie dziecko, odda je do żłobka i będzie dalej pracować. Ale co robi w Pege-lerze? Ano to właśnie jeszcze jeden objaw związany z rolniczym zapleciem, które pracuje w mieście: wieczysty głód robotnika. Oczywiście



Rys. Danuta Konwicka

cie kiedy zgłosiła się do pracy widać było, że jest w ciąży, ale litowano się nad nią, a przy tym — co miała robić, naklamała, że przyjadą za nią dwie siostry do pracy. Po pewnym czasie nie mogła dalej pracować, ale pozostawiono ją: je, pije, mieszka i jakoś żyje, a nie ma tyle rozumu, czy też może tak chce się przypodobać koleżankom, że przynosi im potajemnie wódkę i z tą swoją czystą, miłą twarzą służy najgorszemu, gotując niejednej los podobny do swego. A czy myślicie, że ona sama taka? Bynajmniej. W kuchni pracuje od wiosny druga kobieta o zniszczonej, nieprzyjemnej, ale i niestarej jeszcze twarzy i smukłej figurze. Na trzeci dzień po

przybyciu dostała krwotoku, widocznie więc wszystko naprzd przygotowała i zrobiła coś sobie, ledwo dostała pracę. Zabrano ją do szpitala, wróciła po dziesięciu dniach, dostała jeszcze dwa tygodnie urlopu zdrowotnego — a teraz od kilku miesięcy pracuje i dobrze pracuje, inteligentnie. Wszystko umie gotować i jak mówi żona kierownika „myśli nad garnkiem” tak, że potrawy wychodzą z jej rąk smacznie i czysto. Widziałam też jej zachowanie się przy jedzących. Po-deszła do któregoś z chłopców, otoczyła mu — jak to jest w zwyczajach — szyję ramieniem i powiedziała:

— Ale widzisz, kochany (kiedyż wreszcie ustal się, że „kochany” to przymiotnik, a nie rzeczownik?) jak ty brzydko jesz, na podwórz cię słyhać. Nie młaskaj tak!

Chłopiec zastosował się, a ja po-myślałam, ile by można zrobić dla ucywilizowania tej młodzieży, gdyby dawać jej jakieś wskazówki w podobnie życzliwe, nie obrażającej formie.

Uporczywie wspominałam o wybitej szybie, choć to drobiazg — i jak mogłoby się wydawać moim miejskim czytelnikom — łatwy do naprawienia. Otóż nawet w mieście nie jest łatwo w naszych warunkach wstawić zbitą szybę — a cóż dopiero w odległości kilkunastu kilometrów od miasta i to w sytuacji, gdzie tych szyb polecą często 27. Tak, dwadzieścia siedem szyb wylatki w robotniczym hotelu chuli-gam. Robotnik, który przyjeżdża na ekipie ze swego miejsca pracy — choć to nie zawsze święty — wstydzi się stałych towarzyszy i opinii, która z nim powróci, więc nie o ekipę tym razem chodzi, tylko o „sezon”.

Gospodarstwa Państwowe w wiecznym głodzie robotnika biorą, co im wpadnie pod rękę, a nie zawsze dobry to wybór. Powiedzmy wprost: place w PGR tak są niskie, że każdy kto ma szansę pracować w fabryce, uda się do miasta. Toteż robotnicy sezonowi, to często, jak widzieliśmy, kobiety, którym nie powiedło się w życiu i które pragną na pewien czas zniknąć z ludzkich oczu — albo, jeżeli chodzi o mężczyzn, trafia się i element przestępcy, którego więzienie nie naprawiło i który nie może jakoś trafić na uczciwą drogę.

I teraz był tam młody chłopak tego typu — ale o tym w ogóle innym razem, bo to żywa ilustracja do innej znowu tezy i w ogóle inne zagadnienie. Na szczęście nie trafiałam na wielką awanturę, rekonstruuje tylko zdarzenia z opowiadania żony kierownika. Jak zwykle u podstawy wypadków jest alkohol, bo przy niskich placach „sezon” zawsze ma na wódkę, sprzedając w ostatecznym wypadku państwowemu poduszki i koce.

Zaczęło się od zabawy, która przy podnieceniu alkoholowym skończyła się bójką o dziewczynę. W rezultacie dwóch czy trzech chłopaków rzuciło się na jednego i porznęło go nożami. Może te rany i nie były takie okropne, ale trafil widać na tętnicę i krew dosłownie tryskała na ściany. Szybko — w drobny mak, bo walił z zewnątrz

i z wewnątrz. Telefon jest w podwórzu zabudowań gospodarskich o kilkaset metrów od hotelu, po noccy biuro zamknięte, trzeba szukać dyżurnego i klucza. Kierownik, który jest silny chłop, ale sam nic nie zdziałal przeciw bandzie pijaków z nożami, biegnie w ciemnościach do telefonu, by ściągnąć milicję z Poznania. Jego żona, przystojna, nie- stara jeszcze kobieta jest dosłownie oblegana, więc barykaduje się w kuchni. W pewnej chwili słyszy, że ktoś delikatnie drapie do drzwi. Wyczełała z białym sercem — dra- pie znowu. Myślała, że już sobie poszli i że to jakiś sojusznik, uchyła drzwi i za tymi drzwiami w ostrym snopie elektrycznego światła widzi dosłownie widmo — tego po- haratanego, umazanego we krwi, miotającego się w białej gorączce, a który miał jednak tyle sprytu, żeby się do niej nie dobijać, tylko delikatnie pukać.

Zatrzasnęła drzwi, przerażona — co tu robić? Tam z człowieka krew uchodzi i może ująć zupełnie. Trzeba ratować! Na szczęście milicja zjawiała się piorunem, awanturnicy poszli się przespać do aresztu, po- ramięgione zabrano do szpitala — i tak zakończyła się ta okropna noc.

Moral? Ba, ten moral nie da się tak prosto sformułować. Mniej więcej musi on brzmieć tak: trzeba polepszyć warunki naszej pracy na wsi, bo nigdy nie udoskonali się człowiek w prymitywnych i nędznych warunkach.

Ale przynajmniej raz na tydzień odbywają się tańce w hotelu i tam- tego wieczora, na który już patrzy-łam własnymi oczyma — asystowa-ła im także biedna głuchoniema Pepesia. Ach, jak szczęśliwa, jak gospodarna, jak pracowita jest Pepesia! Młodzież kocha ją i ceni, bo ci szorstcy, często brutalni chłopcy zdolni są do delikatnych, bezinteresownych uczuć, a żartując z Pepesi i przyjażniąc się z nią, prostują starej kalece świat. A w niej nie ma krzyży złości. Każdemu pomoście, każdemu coś przyniesie, pościela łóżka, napali w piecu, żeby wszyscy mieli ciepło w pokojach jak wróca z pracy, a kiedy kto się zamyśli czy obejmie głowę rękami, jakże go żaluje, jak odejmuje te złożone ręce, jak patrzy w oczy, jak serdecznie wzdycha. Pepesia nie pojechała na Kongres bo i tak czuje się tu jak w rodzinie.

Toteż kiedy wnoszą adapter, kiedy poczuje rytmiczne granie muzykalnego powietrza, nie potrzebuje nawet patrzeć na ustawiające się pary, żeby przygotować się do tańca, a każdy chłopak chętnie ją prosi, bo pierwszorzędna z niej tancerka.

Ach, jak pięknie, jak lekko tańczyła głuchoniema Pepesia! Jej ci- we włosy wspie są nad głową jak lekka aureola, jej duże, piękne, niebieskie oczy dosłownie promieniają, jej szczupła, zgrabna figura prostuje się bardziej jeszcze, a jej zgrabne nogi w ciężkich, modnie wywiniętych gumowcach stosują misternie kroki.

I tu już żaden moral nie potrzebny, bo „sens na wierzchu niby gwiazda świeci”, jak mawiał Kry- sicki.

Wanda Melcer

BRANDYS

czyli ZIELONY KAPELUSZ

humorze. Ciepły, słoneczny poranek, ptaki już swiergotały. Swatkowski zmrużył oczy i podrapał się pod koldra. Prawdziwa wiosna. Przypomniał sobie ubiegłe wiosny, na przykład taką przed pięciu laty, kiedy byli z Miernikiem w Berlinie. Swatkowski znieruchomiał w pościeli. Zawsze nieruchomiał, gdy wspominał tę podróż. Nawet wtedy w Berlinie, jak tylko się wymknął na Kurfürstendamm, zaraz musiał wleźć na Miernika! Pamiętał, jak pot mu ściekał po grzbiecie, gdy chował za sobą zielony kapelusz. Dzięki Bogu, Miernik miał go także. Głupia chwila, nie ma co. Od owego dnia przez pięć lat nie wymienili na ten temat ani słowa. Swatkowski po powrocie ukrył kapelusz w szafie. Raz tylko, po przyjęciu, kiedy wypił parę wódeczek, przymierzył go w domu przed lustrem. Trzeba przyznać, że wyglądał w nim jak lord. Ale czy to były czasy, żeby wyglądać jak lord? Swatkowski jeździł do biura w szarym kapelusiku z MHD, a na narady produkcyjne przychodził w czapce. Tak samo Miernik.

A trzeba było przyjąć w tym kapeluszu! A właśnie, jak gdyby nigdy nie! Przyjąć, ukłonić się, powiesić go na wieszaku. A potem, w razie jakichś przykrości — uprząść się. Miałby przykrości, ale miałby coś, co by go wyróżniało, miałby swoje własne zdanie, Miernik by się wściekł.

Swatkowski westchnął pod koldrą. Zrobiło mu się żal, że wtedy się nie uparł. Dzisiaj by o nim mówili: „Swatkowski ma kręgosłup”.

Aha, teraz już tak myśleć. Ale pięć lat temu? Pięć lat temu sam zwrócił uwagę pracownikowi Wydziału, że chodzi w państwowych wykopkach z amerykańskiej paczki. Oczywiście, drobiazg, pizzeleż nigdy nie prześladował podwładnych. Co innego Miernik.

W ogóle, czy on, Swatkowski, ponosi odpowiedzialność za błędne metody? Owszem, w zeszłym tygo-

dnio oświadczył na zebraniu, że czuje się odpowiedzialny. Oświadczył tak, ponieważ na poprzednim zebraniu Miernik oświadczył to samo.

Ale w gruncie rzeczy Swatkowski wcale nie czuł się odpowiedzialny za błędne metody. Jeżeli używał błędnych metod, to tylko dlatego, że Miernik także używał błędnych metod. Siedział przy sąsiednim biurku i niechby Swatkowski spróbował coś zrobić czy powiedzieć nie tak, jak trzeba! Oho!...

— Jak trzeba... — szepnął i zamyslił się. Co to właściwie znaczyło? Skąd on, Swatkowski, wiedział, jak trzeba? Poczuł się nieswojo i przymknął oczy. Nigdy nie filozofował, nawet w łóżku. Ale teraz raptem wszystko wydało mu się trochę dziwne. Jak trzeba... Co to znaczy? Czy to, że się zastanawiał, jak postępować, żeby to było z pożytkiem? Zapewne, zapewne. Ale niby dla kogo z pożytkiem? Dla narodu, może... dla partii? Bez względu na to, znaczy, że za każdym razem dokładnie i konkretnie starał się przewidzieć, czy jego decyzja przyniesie pożytek narodowi i partii?... Coś tu nie gra — zmartwił się Swatkowski.

I nagle uświadomił sobie, że to „jak trzeba” mrugało na dnie oczu Miernika. Postępował tak, żeby we wzroku Miernika nie poruszył się podejrzliwy robaczek, pchełka, której Swatkowski się bał. — Głupi wieprz... — mruknął podciągając koldrę — a niby skąd on wiedział, jak trzeba? — Wszystko mu się pokręciło, wołał o tym nie myśleć i spójrzal na zegarek.

Ale mydląc się przed gołębieniem, w pewnej chwili powiedział głośno: — Ha, gdyby człowiek mógł z góry przewidzieć... — Czy mógł na przykład przewidzieć, że należało mieć swoje zdanie? Albo że trzeba się uprząć? Teraz się okazuje, że trzeba było mieć swoje zdanie i się uprząć. — Się uprząć... — powtórzył wciierając pianę w policzek. No, prawda mówiąc, często wówczas używał w przemówieniach takich

określeń, jak „uparty trud”, albo „wysiłek pełen uporu”. Ale co innego „uparty trud”, a co innego „uparty Swatkowski”. Dalby mu Miernik w kość, tylko na to czekał. Co za szczęście, że on także zafundował sobie ten kapelusz...

Ni stąd ni z owąd Swatkowski poczuł nieprzemąglą chęć przemienienia zielonego kapelusza. Leżał na górnej półce, ukryty w plecaku. Namydlony, Swatkowski wyszedł z łazienki, wspiął się na palcach i zanurzył rękę w szafie. Jest... Poczuł pod dlonią gładki, śliski pilśni. Zapiał guzik piżamy i ostrożnie nałożył sobie kapelusz na głowę.

Nowutki, cudowny, jak ulat. Swatkowski stał zapatrzony w swoje odbicie w lustrze szafy. Czy to rzeczywiście był on? Więc tak mógł wyglądać na codzień? Złożył ręce w tył. Potem się ukłonił, lekko uchyłając kapelusza. Gdy weszła służąca z kawą i skamieniała w progu, Swatkowski nawet jej nie zauważył. Srał owładnięty zupełnie nową myślą. A gdyby tak pojechać dziś w tym kapeluszu do biura? Miernik by zbierał. Niby dlaczego nie pojechać? Czy zielony kapelusz jest gorszy od innych? Co z tego, że go kupił na Kurfürstendammie — przecież wyprodukowali go robotnicy. Czy nie był to pewnego stopnia wyrazem międzynarodowej solidarności klasy robotniczej? Symbolem pokojowego współżycia? Czy sam Miernik nie mówił onegdaj o koegzystencji? Mówił przez trzy kwadransy. Jeżeli Miernik mówił o koegzystencji, to Swatkowski może przyjechać do biura w koegzystencji, na głowie. Oczywiście, na to Miernik nigdy by się nie odważył. Tym lepiej! Właśnie dlatego, że Miernik był tchórzem, on — Swatkowski — pokaże gest. Gdzie jest w ogóle napisane, że zawsze ma się oglądać na Miernika?

— A może jednak za wcześniej? — pomyślał. — Może by tak w przyszłym tygodniu, po prasówce? — Gest gestem, ale można się na- dziać, minęły czasy Somo-Sierry.

WSPOMNIENIA Z TERAŹNIEJSZOŚCI

Patrzył w lustro. niezdeterminowany. Sam siebie nie poznawał. Boże, cóż to za kapelusz. Czy tak nie będzie elegancji? Przesunął go odrobinę na lewe ucho. Mina, mina Miernika, gdyby go zobaczył w tym kapeluszu! Więc moje jednak!...

Wziął z tacki „Życie Warszawskie”. Proszę! — aż miauknął z satysfakcji: „Odmienność ustroju społecznego — gospodarczych nie wyłącza pokojowego współistnienia”. Ale w sekundę później znowu upadł na duchu. W sąsiedniej spalnicie zobaczył nagłówek: „PAP demontuje oszczerstwa radia imperialistycznego”.

Swatkowski zdjął kapelusz. Położył go na łóżku i wrócił do łazienki. Za kwadrans przyjeździe samochód. Biurowa „Warszawa” codziennie zabierała Miernika i przystawiała po drodze przed domem Swatkowskiego. Do biura przyjeżdżali razem.

W dziesięć minut ogolił się i ubrał. Potem podszedł do okna, żeby spojrzeć, czy wóz nie przyjechał. Wozu jeszcze nie było, ale na ścianie przeciwległego bloku Swatkowski spostrzegł afisz z dużym czerwonym napisem: „ZAGADNIENIA KOEGZYSTENCJI”. W tej samej chwili „Warszawa” zatrzymała się pod jego oknem.

Swatkowski głęboko zacerpnął tchu. Wziął swoją teczkę ze świątecznej skóry i nieśmiało zbliżył się do łóżka. Kapelusz leżał na koldrze. Swatkowski zamknął oczy i nałożył go sobie na głowę. Potem ukradkiem zerknął w lustro. Stał tak jeszcze chwilę. Wreszcie zaczął usta i wyprostowany, powoli skierował się ku drzwiom.

Gdy w minucie później otworzył drzwiczki samochodu, ujrzał Miernika siedzącego z teczką na kolanach za plecami kierowcy. — A — powiedział Miernik — dzień dobry. — Miał na głowie zielony pilśniowy kapelusz.

Kazimierz Brandys

Warszawa, październik 1955.



Rzeźba ludowego artysty (L. Kudy)

chronizm zarówno rzeczowy jak moralny *).

„Ornamentyka” i filozofia

Charakter plagiatowski, przypadek i nietwórczość naszej młodej plastyki każe wątpić, czy jest ona dostatecznie myślowo przygotowana, by wykorzystać we własny sposób sztukę zachodnią. Duże znaczenie teraz będą miały propozycje teoretyczne. Wśród głosów, które odezwały się u nas w dyskusji na ten temat, można odróżnić dwa nastawienia: jedno, traktujące sztukę nowoczesną jako inspirację — jeśli można się tak wyrazić — ornamentacyjną, i drugie — jako filozoficzną.

Rozróżnienie to, mimo że powierzchowne, wydaje się ważne. Łączenie plastyki użytkowej, ze sztuką o ambicjach filozoficznych, prowadzi do fałszywych wniosków; tak robi np. Miłosz w swej książce wymierzonej w kulturę marksistowską, „Umysł zniewolony”. Miłosz wyszydza krytyków lewicowych, którzy sztukę Zachodu uważają za elitarnie dzwawstwo, odseparowane od życia współczesnego. Tymczasem zdobycze formalizmu — pismo Miłosz — natychmiast zostają wchłonięte przez przemysł, architekturę, zdobnictwo; śmiało zestawienia kolorów pojawiają się na krawatach, dynamiczną linię przejmują karoserie samochodów, nawet pióro wieczne ma pomysłowy kształt zainspirowany przez Picassą; w ten sposób sztuka nowoczesna przecieka do najszerszych mas, podczas gdy w ZSRR pompacyjne portrety wodzów i anachroniczne sceny batalistyczne nie mają wpływu na życie współczesne.

W rzeczywistości jednak, do życia codziennego na Zachodzie przenikają powierzchowne elementy sztuki, co tłumaczy się jarmarczynym systemem handlowym poszukującym efektywnych środków w zabawianiu klientów. W pewnym okresie modne były w Paryżu zestawienia kolorów czarnego z brązowym, zwane „braque-owskimi” (Braque posługuje się podobną tonacją w swoich obrazach). Płazce „braque-owskie” nie mogły mieć wszakże nic wspólnego z osobliwą filozofią „monumentalizacji martwej natury” Braque’a, który pragnął nasycić przedmioty patetyczną poezją. Na formy życia oddziaływały tylko niektóre kierunki, przede wszystkim „fauveiści” (Matisse, Derain, Vlaminck) szokujący nowych zestawień barwnych i kubiści inspirujący się kształtem maszyn, tj. szkoły o ambicjach wizualnych, nie filozoficznych.

Tak więc sztuka nowoczesna, w gwałtowności filozoficznej, nie stała się własnością mas. Przed kilkoma miesiącami, w związku z wystawą Picassą, tygodnik ilustrowany o największym nakładzie we Francji, „Paris-Match”, opublikował nowe dzieła artysty. Redakcja zasypana została listami protestacyjnymi, które drukuje badając do tej pory. Argument powtarzający się najczęściej: „Mój czterolatek synek potrafi lepiej”. Pomocny amerykański „Life”, najpowszechniejszy wśród wydawnictw tego typu w USA, zamieścił w czerwcu obraz Klee’go, który dyrektor pewnego muzeum prowincjonalnego uznał za najwybitniejszy w swoich zbiorach. Reakcja czytelników: nadsyłają bohemy wykonane po pijanemu z żądaniem, by oddać je do muzeum, itd. itd. Magazyny, jak np. „Saturday Evening Post” (12 mln. abonentów) posługują się jak najbardziej przygnębiającą grafiką fotograficzną: na jednej z okładek oglądamy młodych ludzi z kompletem 32-u zębów, w garniturach gdzie nie brakuje guziczka; szalenie zadowoleni siedzą oni w barze z wszystkimi polskimi na szybach i popijają piwo z kufli, skąd spływają kropki jak żywe. Albumy, z których kopiuja nasi artyści wystawiający w Arsenale, są wydawnictwami elitarnymi o minimalnym nakładzie. Nie umniejszając więc w niczym zasług krajów socjalistycznych w szerzeniu złego gustu „nienowoczesnego”, wypada też podkreślić znaczne osiągnięcia w tej dziedzinie na Zachodzie.

Do organizacji estetyki życia wzywa artykuł Przybysia, który ogranicza się do żądania, byśmy naśladowali wykształconą na Zachodzie „wizualność” sztuki, komponując architekturę, lokomocję, ubranie, słowem całość życia codziennego



„Kogut” Picassa (1938)

ci; — jako przykłady ostatnich sukcesów u nas w tej dziedzinie. Przybysz ostrzeżenie wymienia oprawę plastyczną Festiwalu, prace teatralne Kantora, lalki Maziarzkiej — tj. działalność o charakterze „ornamentalnym”.

Dziesięć koncepcji „nowoczesności”

Dezyderaty Toeplitza są szersze: proponuje on, byśmy wzięli pod uwagę również pewne konsekwencje myślowe, wynikające ze sztuki Zachodu. Rzucił on hasło, by sztuka nasza inspirowała się przez „nowoczesne malarstwo”, nie daje jednak precyzyjnego wyjaśnienia, co rozumie pod tym terminem. Toeplitz wymienia, jako szkoły, kubizm i nadrealizm, oraz artystów: Picassą, Léger, Chagall, Miró, Klee, Moor, Arp, — nie charakteryzując ich jednak bliżej.

Postulat nawiązania do „nowoczesnego malarstwa” Toeplitz uzasadnia wyglądem świata epoki atomu, telewizji i przygotowywanych podróży międzyplanetarnych. „Ślepcom i zbrodniarzom jest ten, kto zabroni malarzom inaczej patrzeć na przestrzeń, czas i drganie powietrza, niż patrzono na to przed wiekami”.

Rozumowanie Toeplitza przypomina mi rozmowę z pewnym grafikiem, który pokazywał mi fotografię barwną czerwonego samolotu odrzutowego na tle nieba. „Jeśli wykonam podobny obraz, gdzie czerwone zygaski będą się łamały pośrodku błękitu, zostaną nazwane przez naszych sekciarzy formalistą. A przecież samolot jest faktem, oglądamy go codziennie, i malując taki obraz byłbym współczesnym realistą. Nasi kontrolerzy jednak za realizm uważają co innego: np. scenę walk z 1905 r., której nikt na oczy nie widział, z bojowcami w kostiumach skopiowanych z podręczników, w pozach alegorycznych jakich się w życiu nie przybiera, z udrapowanym sztandarem czerwonym, który nigdy tak nie wyglądał”.

W dalszym ciągu, Toeplitz żąda dla artysty prawa wyciągania filozoficznych wniosków z nowego kształtu świata. Sztuka winna pokazać „drogę wysiłku wyobraźni, mnogość, nieskończoność, możliwości tkwiących we świecie”. „Po raz pierwszy w dziejach wyobraźnia ludzka pozostaje w tyle za dokonaniem w dziedzinie nauki... Stworzyliśmy już i tworzymy świat, którego sobie jeszcze nie wyobrażamy we wszystkich koncepcjach... Stworzyliśmy nowe pojęcia przestrzeni, a nie potrafimy się w nich mieścić; kreowaliśmy nowy czas, a nie potrafimy w nim działać; zaatakowaliśmy długowieczność, a nie potrafimy nawet wyobrazić sobie nieśmiertelności”.

Wydać mi się, że głównym niedostatkami hasła „nowoczesności”, jak je rzuca Toeplitz, jest jego niedialektyczność. Zasada „nowoczesności w sztuce” była formowana wiele razy, ale Toeplitz nie przytacza innych podobnych manifestów, i nie stara się określić, w czym różni się od nich — lub nie — jego obecny dezyderat. Tadeusz Peiper, teoretyk „awangardy” polskiej, ogłosił w „Zwrotnicy” w r. 1922 (Miasto. Masa. Maszyna. Metafora teraźniejszości) program, w którym znajdują się już wszystkie (i nawet więcej) propozycje Toeplitza. Sztuka bowiem nazywana w naszej dyskusji nowoczesną, datuje się w istocie sprzed 50-ciu, w najlepszym zaś razie sprzed 30-u laty (kubizm: 1907, nadrealizm: 1924). Burżuazyjni krytycy oceniają ją od dawna jako anachroniczną. Z okazji ostatnich wystaw w paryskiej „Galerie Maeght”, czytało się surowe opinie: „Nasi artyści popadli w skostnienie twórcze; od połowy stulecia oglądamy te same deformacje — nie nowego” („Arts”).

W „Saturday Review of Literature” przed miesiącem ukazał się zasadniczy artykuł: „USA stały się potęgą światową. Ostatnie dziesięciolecie było okresem nieporównywanego dobrobytu. Na świat przyszło 35 mln. nowych Amerykanów. W praktyce, każda rodzina posiada przynajmniej jeden samochód”. Tymczasem sztuka z uporem wyraża anarchię, desperację, niepewność istnienia w zmechanizowanym świecie, czyli uczucia charakterystyczne dla minionego okresu „Wielkiej Depresji”. Krytyka ta, mimo że reprezentuje pretensje „kulturotwórcze” imperializmu,

stwierdza przecież zastój w rozwoju sztuki. We Francji, w ostatnim numerze „Les Temps Modernes” czytamy artykuł nawołujący do walki przeciw stagnacji w sztuce. Autor pisze, że oglądał niemy film z r. 1925: w każdej minucie projekcji jest tam poszukiwanie świeżej myśli, „efektów naiwnych może, ale wyrażających próbę nowego widzenia psychologicznego, metafory, poezji”. Tymczasem film dzisiejszy popadł w pozbawioną ambicji „opowiadawczość”; autor wzywa do „myślowej i wizualnej odnowy”, i dla obydwu tych celów radzi studiować, klatka po klatce, Eisensteina i Pudowkina.

Paradoksalna sytuacja, gdzie Toeplitz wzywa, byśmy ratowali naszą sztukę przez inspirowanie się zachodnią, zaś jednocześnie tamtejsi krytycy radzą swoim skostniałym artystom, by uczyli się na wschodzie, stała się możliwa dzięki niedialektycznemu sformułowaniu hasła: „współczesności”. Jak każde hasło, nabiera on sensu dopiero zależnie od ukrywającej się za nim treści społecznej, w danym momencie. Nie występuje ono w ciągu wieków; w epoce feudalizmu, żywiącej kult kontynuacji przeszłości, podobne hasło byłoby niewiastowścią, i nawet artyści renesansowi, mimo że byli twórcami głęboko nowoczesnymi, z uporem powoływali się na starożytność.

Hasło „być współczesnym” w sztuce zjawia się natomiast w naszej epoce, i to wysunięte przez grupy społeczne, które czują się zagrożone wypadnięciem poza orbitę współczesności. Slogan „nowoczesności za wszelką cenę” rzucił jak wiadomo futurysta Marinetti, traktując go jako wstęp do odrodzenia mieszczaństwa w ruchu faszystowskim. Zwrot „być nowoczesnym” ma więc już pewną tradycję. Jeśli używamy go, nie dając własnej interpretacji, automatycznie możemy popaść w jedną z już historycznie istniejących.

Zdaje się, że zdarzyło się to po trosze Toeplitzowi. Określa on współczesność za pomocą techniki i rozwoju badań naukowych „pozostawiających w tyle wyobraźnię ludzką”. Otóż zafascynowanie maszyną oraz zaskoczenie rezultatami nowoczesnych nauk przyrodniczych staje się na Zachodzie, drogą osobliwego paradyksu, anarchicznym argumentem przeciw współczesności. Futurysta Carra pisze, że ponieważ zadaniem artysty jest rozwiązać swoją niepowtarzalną wrażliwość indywidualną, powinien on natychmiast reagować, w sposób zaskakujący, osobisty, sobie tylko właściwy, na każdą minutę czasów dzisiejszych. Jest to reakcja na współczesność negatywna, atakująca maszynizm, stanowiąca donos na swoją epokę. Z artystów przytoczonych przez Toeplitza, jedynie Léger uważał się za gloryfikatora maszyn, przy tym krytycy zarzucał mu rozdźwięk między jego konstruktywnymi zamierzeniami oraz formą rozsypek elementów, którą zaczerpnął od kubitów. Calder, Kandinsky, Klee, podrywają nasze poczucie porządku świata arystotelesowskiego i euklidesowego, pokazując beładny i patetyczny chaos kształtów, w przestrzeni nieokreślonej. Czy można powiedzieć, że opiewają nowy układ matematyczny, odkryty przez Einsteina? Z pewnością nie, ponieważ o ile komunikują nam rozkład dawnego świata, nie starają się dać nam odczuć porządku nowego. Jeden z krytyków pisze, że uczniowie Klee’go umieszczali na swoich obrazach „niepotrzebne znaki plastyczne”, jako celową demonstrację przeciwko „użytecznym filozofiom naszych czasów, marksizmowi i pragmatyzmowi amerykańskiemu”, w myśl rady klerka-Gide’a: „Czy wszystko musi coś znaczyć?”

Nowoczesne malarstwo staje się demonstracją przeciwko nowoczesności. Mironi nadaje pismo obrazkowe ludów prymitywnych. Klee wręcz powiada, że „jest artystą średniowiecznym”. „Człowiek jest samotny pośród ciężaru anonimowości stworzonej przez nasz wiek; przeciwko niemu prowadzi on bez-

nadziejną walkę”. Walka ta przypomina starcie św. Antoniego z potwornością materii. Fantazje plastyczne na temat techniki i obserwacji przyrody nie są bynajmniej przywilejem nowoczesności: sztuka średniowieczna pełna jest koszmarów ostrzegających przed zagładą, białym światem, „moralną rzeczą wiśszości”. Chimeryczne i monumentalne plazo-rybo-ptaki, usiłujące przeskoczyć św. Antoniemu w medytację, wyrażają grozę natury niedostępnej człowiekowi i odpowiadają u Klee’go motywowi tajemniczego „Ptaka Pepa”, (Vogel Pep), w kolorach nie z tej ziemi, czy metafizycznie przerażającej rybce, dokoła której wiruje świat niezmierzonych przedmiotów („Um den Fisch”). Podobnie z techniką: u Calotta, Boscha, Breughela — św. Antoniego atakują zdumiewające wirujące maszyny, okryte na ludzkich nogach, a nawet zwierzęta-szafrę, z głowami gadów nad półkami pełnymi sprzętów kuchennych. W „Kuszeniu św. Antoniego” Flauberta święty prosi szatana — racjonalistę, by mu już nie objaśniał, jak świat jest zbudowany: „Odejdź — kręci mi się w głowie, zagłuszasz ciszę, która jest we mnie”.

Ostatnio rozwinął się na Zachodzie gatunek literacki, który wyparł nawet beletrystykę kryminalną, tzw. „Science fiction”; głównym motywem tej produkcji jest straszenie publiczności za pomocą nauki i techniki. Jeden z najgłośniejszych autorów, Ray Bradbury, opisuje przybycie pierwszej rakiet międzyplanetarnej na Marsa. Szesnastu członków załogi widzi ze zdumieniem liryczne miasteczko amerykańskie, zaludnione przez niezwykłych krewnych, którzy podejmują przybyszów z Ziemi ze łzami w oczach. Po radosnej kolacji kapitan, drzemiąc koło swego brata zmarłego młodo, w domu gdzie odnalazł rodziców też dawno już pochowanych, zaczyna się zastanawiać: „Czy Mars nie jest zamieszkały przez genialnie wrażliwe istoty, które czytają w naszych wspomnieniach, i potrafią wcielić się w naszych najbliższych?” Złany potem z przerażenia, próbuje ostrożnie wstać, ale słyszy twardy głos: „Dokład! „Następnego dnia w miasteczku odbył się zbiorowy pogrzeb: za 16-ma trumnamy postępowali splakani staruszkiowie... Lecz wiatr powiał, i twarze ich zaczęły się rozmarzać, postaci stapały się z powietrzem, domy rozpyływały się z wolna...”

O tej świetnej noweli, wyrażającej poetycznie lęk przed antyludzkim jakoby pionierstwem we wszechświecie, pisze krytyk francuski (Astorg) że wydaje mu się zainspirowana przez obraz Klee’go „Amarantowa pustynia”, gdzie czerwone domy i czerwone koła nieznanych maszyn wypielają czerwoną przestrzeń niekończącą się, niepokojącą, somnambuliczną: „wariacja plastyczna na temat nowego świata”.

Czy istnieje „dialektyka maszyn”?

Wydać się, że Toeplitz, w swym poszukiwaniu nieokreślonej „współczesności”, dał się zasugerować ową potężną wizją niepokoju, parującą z dzieł cytowanych przez niego artystów. „Świat, którego nie wyobrażamy sobie we wszystkich konsekwencjach... pojęcia w których nie potrafimy się mieścić... czas w którym nie potrafimy działać...” Nie potrafimy prawdopodobnie myślenia, tzn. Toeplitz i ja; gdy jednak pytałem specjalistę o „mezo-nów” atomowych, co sądzi o metafizycznej niepewności, jaką odczuwamy słysząc o teorii Einsteina, odpowiedział:

„Niech pan przeczyta książkę „The universe and dr Einstein” Lincolna Bannetta. Jest to popularny wykład teorii względności, autoryzowany przez samego Einsteina. Sądzę, że po tej lekturze pana zdenerwowanie zniknie”. Co też się stało. Podobnie teoria Newtona, dla nas naiwna, wydawała się przerażającą wychowankom scholastycznym; lęk jest rezultatem nieznanności.

Tak więc Toeplitz padł trochę ofiarą nieprecyzyjnej definicji współczesności, określając ją za pomocą techniki i rozwoju badań naukowych, tzn. objawów cywilizacji najbardziej efektywnych w naszym stuleciu, lecz mimo wszystko wtórnych. Punktem wyjścia do definicji współczesności, winna być struktura społeczna, nie technika. Starożytni Chinozcy, którzy znali proch, druk, i wzniesli jedno z najbardziej imponujących dzieł architektury w postaci Wielkiego Muru, winni być przodującym nowoczesnym narodem, tymczasem wtedy właśnie pograżali się w feudalną martwość. USA zaczęły produkcję broni atomowej wcześniej od ZSRR; w Marsylii i Paryżu stoją wspaniałe gmachy Le Corbusiera, gdy Moskwa zawalona jest przestarzałą architekturą wiktoriańską; jednakże ZSRR jest państwem bardziej współczesnym niż Francja. Gdy w r. 1938 ukazał się film „Wielki Obywatel” Emmlera, angielski krytyk napisał, że jest to „dzieło n a j b a r d z i e j a k t u a l n e na kul ziemskiej”. Treścią „Wielkiego Obywatela” jest walka partii bolszewickiej ze spiskiem przeciw jej władzy, w okresie zamordowania Kirowa; od rozstrzygnięcia tego

chodni malarze pokazują maszynę. Maszyna w konkretnej sytuacji, zmienia się w oczach artysty, zależnie od czasu i miejsca geograficznego. Podczas festiwalu rozmawiałyśmy z dziennikarzem z NRD, który twierdził, że jednym z błędów w okresie przed zajściami czerwcowymi było goliłkowanie maszynizmu, co w Niemczech, kraju zawsze połączonym z przemysłowym, który padł ofiarą maniackiej industrializacji mieszczańskiej, nie tylko nie było hasłem atrakcyjnym, lecz przeciwnie, znieczęcającym. Natomiast w Chinach, ludowy grafik przedstawia rzekę płynącą przez pustynię: zjawia się na niej parowiec, a dym z komina rozpoczyna się po niebie w postaci marzenia o mieście, pełnym sklepów i ruchu; obraz wyrażający radość z zainstalowania przez komunistów lokomocji rzecznej, która połączy ze światem azjatycki ugor, gdzie do tej pory męczył się autor rysunku. Inaczej wyryła fabryka na Żeraniu w oczach mieszczańca miasteczka, zbudowanego przez tę ogromną konstrukcję, inaczej; w oczach dumnego i powierzchownego patriotę warszawskiego, zadowolonego że „mamy własne samochody”, jeszcze inaczej w opinii dzialacza - pesy-

O kompleksie

(Dokończenie)

konfliktu zależały losy Europy, w przededniu II Wojny światowej. Otóż osobliwy ten film odbywa się w c a ł o ś c i w archaicznych dyskusjach przy biurku, i nie widzimy w nim przedmiotu nawet tak nowoczesnego, jak maszyna do mięsa.

Tak więc artysta, który stawia dynamiczne czerwone zygaski na niebieskim tle na wzór samolotów odrzutowych, w c i a ż n i e m a l u j e w s p ó ł c z e s n o ś c i. Tak samo, jak nie odzwierca jej autor scen z dzieł Partii, o drobionych z fotograficzną wiernością („Malarz który w takiej chwili widzi tylko guziki, nie dostrzega Rewolucji”, jak ktoś powiedział). Natomiast w ważnych zjawiskach sztuki współczesnej, w filmie włoskim i japońskim, treść jest pochodzenia n i e w s p ó ł c z e s n e g o: niedza ludu — czyli pozostałość po kapitalizmie — zaś w filmie japońskim relikty feudalizmu (dehumanizacja kobiety w „Losach kobiet” eksploatacja pracy niewolniczej w „Lowcach krabów”, itd.). Te zjawiska opóźnienia społeczne stanowią wszakże dialektyczną, rzeczywistą problematykę narodów włoskiego i japońskiego, usiłujących dzisiaj, w r. 1955, oswobodzić się od przeszłości, i ta chęć dorównania współczesnej strukturze moralno - społecznej decyduje o aktualności filmów, w których nie oglądamy ani maszyn, ani naukowców w kitlach nad próbkami. Artyści w Polsce przestali być nowoczesnymi, ale nie dlatego, że nie malują maszyn, tylko dlatego, że nie wybiegają wpród w planowaniu, w marzeniu, w pretensji moralnej wobec dalszego rozwoju naszej struktury społecznej.

Jeśli zaś podejmujemy temat techniki, nie wydaje się najtrafniejszym inspirować się niedialektyczną koncepcją niezmiennego i antyludzkiego molocha, — bo tak za-

misty, klóścącego się na zebraniu partyjnym, że nie stać nas na podobną deficytową „fasadowość”. Traktor na wsi ukraińskiej w „Ziemni” Dowżenki; centryfuga wśród pracujących chłopów w „Linii generalnej”; kolej na pustyni turkmeńskiej, wśród znieczęconych do życia wskutek suszy kałmuków w „Turksibie” Turina: trzy przykłady zróżnicowanego geograficznie, psychologicznie, e s t e t y c z n i e poematu na cześć maszyny.

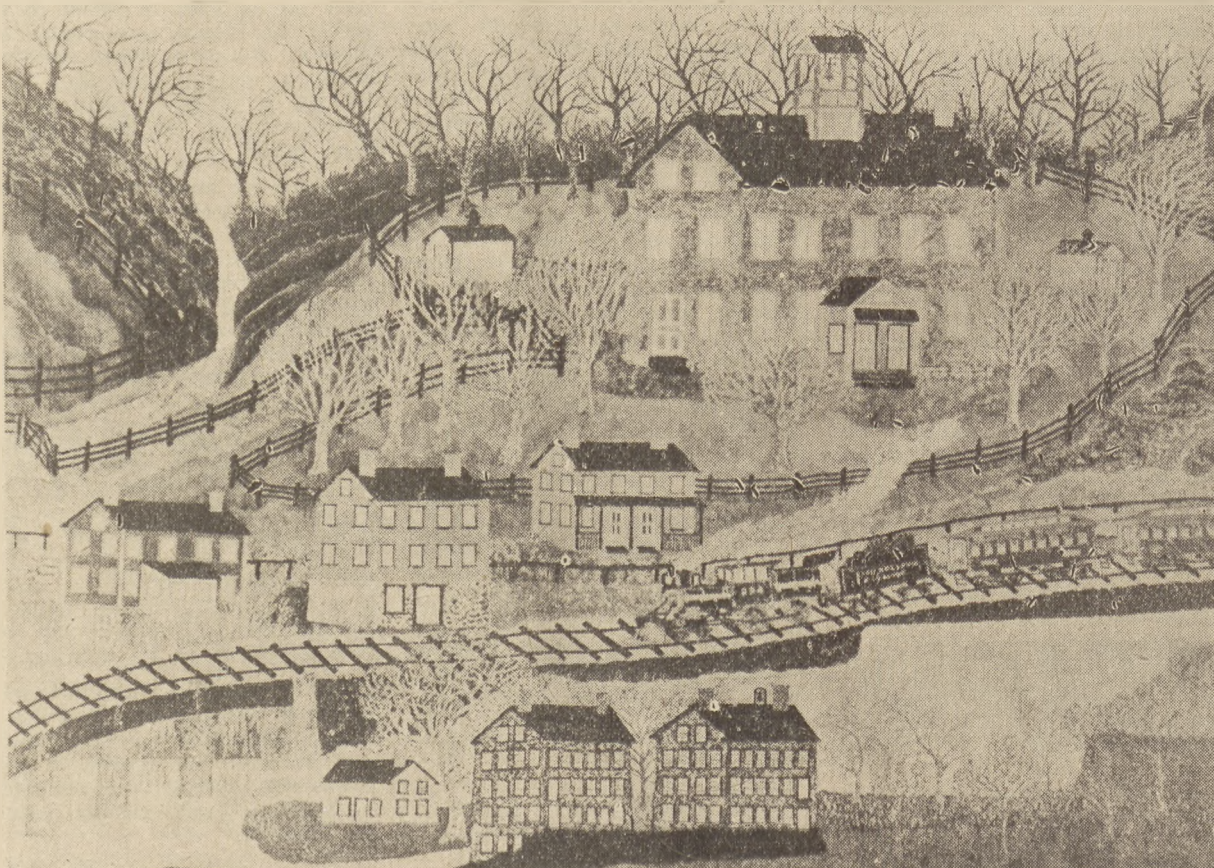
Próba filozofii pejzażu socjalistycznego

Najbardziej niepewna wydaje się ta część „manifestu” Toeplitza, gdzie polemizuje on z poszukiwaczami „stylu narodowego”. „Zasada, — pisze Toeplitz — którą można by określić w zdaniu: Co w kraju, to na obrazie — wydaje mi się... wątpliwa”. Przytacza następnie anegdotę o chłopie, który widząc malarza ze stalugami w pienerze, skrytykował jego pracę: „Panie, po co pan to maluje? Przecież to jest!”, Toeplitz wyraża przypuszczenie, że zadaniem sztuki jest „uzupełnić to czego nie ma”, podobnie jak zrobił Léger, malując w fabryce ogromne kilkupiętrowe drzewo, ponieważ „brakowało go pośród obrobieraków”.

Odnosi się wrażenie, że niedialektyczna i niewłaściwa koncepcja nowoczesności, w którą popadł Toeplitz, doprowadziła go do konsekwencji, w jakiej znalazł się niektórzy zachodni artyści: zeszli oni z płaszczyzny rzeczywistości. Jest to pośredni rezultat kultu techniki, wiódącego do abstrakcji. U kubitów widzimy, jak groza mechanizacji rozpoczyna się na żywym świecie: jeden z krytyków pisze, że — w przeciwieństwie do Chardina, który przekonał nas że gruszka jest tak żywa jak kobieta — ich odkryciem było „potraktowanie kobiety niby przedmiot, ułożonego z płaszczyszyn, krzywizn i figur geometrycznych”. Któs przytacza anegdotę o współczesnym artyście, który w podeszłym już wieku lecąc samolotem, z tryumfem zauważył, że z wysokości 10 tys. metrów świat wygląda jak na obrazie kubitycznym. Otóż na ogół nie żyjemy na tej wysokości; świat atomów, którego wizję dają Kandinsky, Klee, Calder i inni, odkryli został za pomocą obliczenia matematycznego i nie da się zobaczyć nawet przez mikroskop. Niedawno fizyk amerykański, zapytany przez reportera „czy widział Boga”, oświadczył że nie, ale przyznał lojalnie, że żaden uczony nigdy nie oglądał też elektronu, którego istnienie jest jednakże pewne. Świat nauki, który — paradoksalnie — służy za natchnienie wizualne dla plastyki — jest niewidoczny.)

W ten sposób rzekoma „nowoczesność” staje się pomostem do dezercji od rzeczywistości, co doprowadza nas do absurdu, bo nie można istnieć nie bardziej nowoczesnego od rzeczywistości.

*) Uporządkowanie „humanizowania” abstrakcyjnej domeny nauki prowadzi do niedorzecznych teorii, np. że „technika popchnie rozwój społecny; gdy wszystko będzie poruszane energią atomową, klasy znikną i rewolucja stanie się niepotrzebna”. Nadzieja podobna jest jak najpoważniejsza w książce Davenporta „The Dignity of Man”, która uchodzi w tej chwili w U. S. A. za główne dzieło ideologiczne polemizujące z komunizmem.



Dolina Manchesteru. Obraz prymitywu amerykańskiego (Pickett)

* Więcej prawdy o współczesnym życiu polskim opowiadała bezpretensjonalni karykaturzyści, jak Ferster czy Lengen, którym znów wypadłoby zarzucać brak ambicji stylistycznej.

Zdaje się więc, że jeśli chcemy wykorzystać doświadczenia sztuki zachodniej, należy rozpatrywać je dialektycznie, każde z nich starannie analizując, pamiętając że ich język plastyczny często odpowiada pewnej filozofii i nie daje się od niego oddzielić (tak jest np. z Klee'm), oraz stawiając sobie stałe pytanie: „Czy ta twórczość daje się zastosować do naszej rzeczywistości?” Wydaje się np. że pozytywne mogą być dla nas osiągnięcia sztuki, stawiającej sobie za zadanie, jak określiła to krytycy zachodni, „potęgowanie przedmiotów”. Pejzaż naszego kraju, leżącego na granicy gdzie zaczyna się Azja, należy do najmniej efektownych: nie posiada on już barwności krajobrazu europejskiego, nie ma zaś jeszcze monumentalnych wymiarów przestrzeni azjatyckiej. Pamiętam moje zaskoczenie, gdy znalazłem się po raz pierwszy we Francji; oglądając jeszcze w kraju reprodukcje impresjonistów, sądziłem że ich obrazy są fantastycznym dziełem imaginacji kolorystycznej — tymczasem okazało się, że byli oni wiernymi i nawet dość nudnymi fotografami autentycznego, charakterystycznego drgania światła w swoim kraju. Zdaje się że dlatego imitatorzy widzenia

rze szkoły Chirico zestawiają przedmioty abstrakcyjne; manekiny krańcowe, mapy geograficzne, rękawiczki gumowe — traktowane objętnie, bezosobowo, „antynaturalistycznie” — a to w celu odnalezienia nowych stosunków, związków, niespodziewanych skojarzeń między rzeczami. Osiągają w ten sposób efekt dziwności, nieokreślonego niepokoju, niejasnego zainteresowania trudnego do zdefiniowania uczucio-wo, i odpowiadającego mniej więcej czechowiczowskiej pozbawionej pasji kontemplacji „bez żalu”. Surrealiści doprowadzili tę manierę do absurdu, powiększając drobniarę do monstrualnych rozmiarów, np. malując trzymetrową spinę do krańca rozdziawioną w postaci straszliwej paszczy, celem straszenia publiczności „ukrytą potwornością życia codziennego”.

Niektóre wnioski szkoły „potęgowa- nia przedmiotów” znajdujemy w twórczości Trepkowskiego, który na swoich afiszach pokazuje drobniarę o znaczeniu symbolicznym, spate- zowany, umieszczony w akcentującej go perspektywie, uczuciowo „na- światlony”; olbrzymi ołówek na biał- czerwonej wstążce (walka narodo- wa z analfabetyzmem), goździk na tle pasliaka (film o Oświęcimiu),

Doświadczenia Czechowicza, Cha- galla, Szulca, tyczą wszelkie pejza- zu przed-socjalistycznego; pada też na nie cień metafizycznej samotno- ści artysty, dzisiaj anachronicznej, mimo że rozumiałej w owych cza- sach społecznej stagnacji. Poszuki- wania tych twórców wydają się jednak cenne, ze względu na próbę znalezienia tonacji, odpowiadającej pejzażowi naszej okolicy. Nie mo- zemy się tu wzorować na artystach zachodnich, i potrzebne jest owo „odwrócenie wartości estetycz- nych”, które postuluje Eisen- stein. Teoria jego przypomina no- welę „Sen” Prusa o tamtym świe- cie, gdzie rzeczy uległy moralnemu przesegregowaniu: złote korony, a- tlasty i brokaty noszone przez włą- dów, wyglądały jak stara blacha i pogniecione szmaty; natomiast nędz- ny kaftanik z wylągłymi klaczkami bawełny, własność Żydówki-śle- dziarki, która za życia wspierała bę- daków, błyszczał jak płaszcz grono- stojowy. W filmach Eisensteina, Pu- dowlina i Dowżenki widzimy podob- ne przesunięcie oceny estetycznej. Obwieszona klejnotami żona genera- la w „Burzy nad Azją”, kapitałiści we frakach w „Końcu Sankt-Peters- burga”, oficerowie w galowych mun- durach w „Październiku” wyglądają jak nieinteresujące i tandetne ku- kły, podczas gdy szmaty noszone przez proletariuszy stają się pasjo- nujące ciekawe, szynel żołnierski układa się jak draperia, zniszczone twarze nomadów tchną poezją. W „Aleksandrze Newskim” Eisenstein daje jedną w swoim rodzaju wizję pejzażu. Nie popełnia on tego błę- du, co malarze rosyjscy wieku XIX, imitujący szkołę Corota, i szu- kający „uroczych zakątków z drze- wami”, których jest pełno we Francji, i zdarzają się może w Rosji, tyle że obce są ogólnemu charakte- rowi kraju. Eisenstein pokazuje nie- zmierzoną płaszczyznę, gdzie nie ma ma prócz pokrytego lodem jeziora i skały, z której Aleksander New- ski dyryguje monumentalną bitwą. Ta zadziwiająca, halucynacyjna, peł- na patosu biała pustynia ma swoją oazę: centrum obrony, Nowogród, z białymi kopułami jarzącymi się na tle ogromnego nieba, niby na su- rowej miniaturze bizantyjskiej. In- nym przykładem jest fascynująca wizja Leningradu (Petersburga) w nocy poprzedzającej zdobycie Pała- cu Zimowego, w „Październiku”. Za- den malarz rosyjski nie potrafił, jak Eisenstein, otworzyć potęgi i oso- bliwego uroku swojego kraju, jego poezji nieuchwytniej dla oka wy- kształconego na paryskiej tradycji estetycznej.

nie natury przez człowieka, przed- stawiają ją jako pełną ładu, umiaru i pogody; i oni mieli swój krajobraz utopijny, w postaci nieznanej żad- nemu turyście, pastersko-filozoficznej „Arkadii”.

Marzenie o nowym socjalistycz- nym świecie, musi się odbić na spo- sobie patrzenia na pejzaż. Nie idzie tu oczywiście o malowanie fabryk, których istnienie nie jest najcha- rakterystyczniejsze dla socjalizmu, ale o odtworzenie pewnej postawy moralnej w stosunku do własnej ziemi. Pozycja Czechowicza była ledwie zarysowana, szkicowa, sta- nowiła niejasny gest o humani- stycznej tendencji, wobec współcz- snego pejzażu. Odpowiadała ówcz- snemu życiu prowincjonalnemu, ce- chowała ją poetyczna niepełność, myślowa niedokończoność, mglista nadzieja intuicyjna bez możliwości zaspokojenia, bez widoków na reali- zację. Stąd jego technika pisarska „rwąca się”; słowa jego awangar- dowych poematów „uciekają”.*)

Od tego czasu, przesunął się przed naszymi oczyma pejzaż okupacji, pejzaż ruin, pejzaż psychologicznej inkorporacji Ziemi zachodnich, pej- zaż rozbudowy socjalistycznej w jej różnych fazach. W tym miejscu myśl teoretyzująca, niepoparta żad- nym dziełem, winna się może za- trzymać, by nie popaść w naiwną recepturę środków i chwytów. Po- zwolę sobie wszelkie na zakończenie przytoczyć parę uwag — rezultat rozmowy „technicznej” z kolegą gra- fikiem. Postawił on mianowicie py- tanie: jaki powinien być „punkt wi- dzenia” oraz „rytm” ewentualnego, szumnie przez nas nazwanego (wciąż nieistniejącego) „pejzażu so- cjalistycznego”?

W poszukiwaniu punktu widzenia

„Punkt widzenia” zdradza niejed- nokrotnie postawę myślową artysty. Pejzaże holenderskie z wczesnego okresu, i nawet późniejsze, jak Seghersa, uderzają ścią „panora- miczną” objętością wzrokową; na jednym obrazie widzimy morze, port, przełęcz górską, i jeszcze roz- pościerające się za nią pola upraw- ne. Nie jest możliwym w praktyce zobaczyć naraz aż tyle przestrzeni. Malarz przedstawił „wszystko co jest w kraju”, dał jakby plastyczny odpowiednik mapy; widzenie to od- powiada syntetyczności myślenia, charakterystycznej dla epoki, oraz ambicji monarchy, czy ławników miejskich zamawiających do ratu- sza obraz całego departamentu. Ro- mantycy, otwierający w pejzażu stany psychiczne, wybierali punkt widzenia z lotu ptaka, czy z nad ry- zykownej przepaści. Impresjoniści patrzą blisko, rozmyślnie zważają pole widzenia, malują fragment drzewa tuż przed sobą, wylazają poza obraz, co odpowiada mie- szkańskiemu indywidualizmowi, de- monstracyjnej doraźności, nonsza- lencji wobec syntezy.

Podobne znaczenie może też mieć rytm obrazu. Twórczość Bonnarda robi wrażenie jakby powstała na wakacjach, bez pośpiechu, w klima- cie dobrobytu (stół po obfitym śnia- daniu z rozrzuconymi serwetkami, jest częstym motywem). Impresjo- niści w ogóle patrzą na naturę okiem ludzi niepracujących, przy- jeżdżnych z miasta, spędzających coś w rodzaju wiecznych ferii. Najbar- dziej świadomie komponowano rytm odbierania pejzażu w epoce klasy- cyzmu. Ogrody francuskie z tego okresu zbudowane są jak symfonie, i przeznaczone do „odczytywania” przez piechura poruszającego się krokiem spacerowym po wyzna- czonym szlaku. Sceny jakie ogląda on kolejno, wprowadzają go w nastrój rozwijający się crescendo. Bra- ma stanowi rodzaj uvertury; szero- ka płaszczyzna z wodotryskiem od- powiada części „moderato”; nastę- pują aleje z posągami: „allegro” itd. itd. — wreszcie wznieślenie usiane klombami z pałacem na horyzoncie: „finale maestoso”. Fotografowanie podobnego parku z samolotu, lub zwiędanie go samochodem, jest niemniejszym chwałstwem co prze- rabianie Beethovena na boogie- woogie. Trzeba pamiętać, że widzo- we, którzy traktowali podobny park jak koncert, podróżowali na codzien- konno lub w lektykach, i zwiędza- nie piechota było dla nich już for-

*) Blizsi nadchodzącej epoki wydają się inni poeci tej samej szkoły, jak Peiper i Przybysz, ale ich wizja pejzażu „elektryfikowanego” jest bardziej ko- smopolityczna, gdy Czechowicz uchwy- cał krajobraz swej okolicy.



„Wizja nowej Warszawy”. Rysunek 10-letniego ucznia.

mą uroczystą, „premierową”. Sły- szalem że w Ameryce są pejzaże skomponowane do odbierania w sa- mochodzie, np. park narodowy w Colorado. Widz jadący autem ma inną psychologię — powiedzmy jazzową, by pozostał na terenie porównań muzycznych — nie ocze- kuje on na logicznie przygotowaną pointę, tylko przerywa odbiór, gdy czuje się już nasycony. W samocho- dzie nie ma mowy o kontemplacji szczegółów, i pejzaż samochodowy musi działać za pomocą zwałistości, tym więcej że jest oglądany przez okno i stale obramiony przez dro- gę; być może krajobraz Colorado, pełen chaotycznych górskich prze- strzeni pokrytych lasami, nadaje się do tego celu.

Niewątpliwie inaczej maluje arty- sta, który czuje ziemię pod nogami. Proletariusz chodzi; w niedzielę pa- trzy on na pejzaż w charaktery- stycznym nastroju odprężenia i jak- by zaskoczenia, ponieważ nie ma czasu przyjrzeć mu się w ciągu ty- godnia. Jest to krajobraz przeważ- nie podmiejski, do którego dojeżdża się wspólnym środkiem lokomocji (autobusem), potem zaś odbiera go się piechotą. Charakterystycznym odcinkiem dla okolic Warszawy, jest np. droga biegnąca brzegiem Wisły od Mirkowa do Góry Kalwarii. O- dróżniając ten spacer, ma się wraże- nie, że dobiega nas oddech wielkiej przestrzeni azjatyckiej, która stąd ciągnie się do Oceanu Spokojnego. Po lewej od idącego rozpościera się rzeka, szara, wielka, spokojna, bo- daj czy nie przypominająca Wołgę i Dniestr. Miasteczka na drugim brzegu są małe i zgubione w prze- strzeni. Po prawej ciągnie się mono- tonna płaszczyzna pól, krzaków, rzadkich drzew. Pejzaż niekończący się, pozbawiony pointy, teren no- woczesnego mrowiska społecznego. W miarę marszu uderza nas bowiem uporczywa aktywność, której roz- miary teraz dopiero nabierają pro- porcji: tutaj pogłębiarka drąży dno; dalej świeża budowa, zgubiona w tej pustyni, ale czerstwa i konkret- na; naiwna szkoła ze sztanbarem i transparentem, most żelazny prze- mawiany na nowo przez ekipę robotników, ginących ze swymi ru- szowaniami na tle ogromnego nie- ba. Powoli zaczynamy odczuwać ca- ły kraj; ubogi, szary, nieefektywny, gdzie przyroda wymaga bacznej ob- serwacji i „potęgowania przedmio- tów” — nauka Czechowicza; jedno- cześnie ziemię tę ryja z wytrwalo- ścią jej żywotni mieszkańcy, stawia- jący fabryki na bagnach, rozkopu- jący dnie rzek, wywieszający czer- wone transparenty na pozornych pustkowiach. Trudne do określenia wrażenie konstrukcji niekończącej się, stale pryzmatycznej, ciągle ubogiej, niedbalej, niewystarczają- cej, ale potwornie upartej i dyna- micznej. Może trzeba być prymity- wem, może dzieckiem, by odczuć bez blagi wiary i poezji tego nowego świata; bo najbliższe owej tonacji, ze znanych mi rzeczy wy-ają się obrazy ludowych samouków amery-kańskich z początku naszego stule- cia, np. Picketta, malującego kolo- rową małą lokomotywę i stację od- chodzącą powaga i pogoda, pośród odtworzonych z naiwną wiernością drobnych drzew w ogromnej „Dol- nie Manhattan”; albo plakat Ben

Shahna, z jego melancholią białych ścian, monumentalnych reklam i zgubionych w przestrzeni małych futbolistów-amatorów na podwórku; albo obrazy Sheclera, piewcy komi- nów fabrycznych z dymami rozwle- czonymi dumnie na setki kilome- trów po niebie; albo wreszcie akwa- rele w jednej z najpiękniejszych książek wydanych ostatnio przez „Naszą Księgarnię”: „10 lat Polski Ludowej w rysunkach dziecię- cych”).

Wyjaśnienie końcowe

Wyjaśnienie takie wydaje się ko- nieczne ze względu na rozpowszech- nione u nas sprowadzanie polemik kulturalnych do kategorii sportowej, za pomocą zaliczenia dyskutujących do „za” i „przeciw”, zamiast zasto- nowić się nad treścią myślową, któ- ra być może, tu i ówdzie się znaj- duje.

Słyszysz się obecnie, że młodzi pla- stycy z „Arsenalu”, którzy poparli manifest Toepflitz, ledwie głowę podnieśli spod terroru biurokratów, i nie należy na ich temat pisać nic dyskusyjnego (tzn. intelektualnego), bo to może zaszkodzić „rozwojowi sztuki w Polsce”.

W związku z tym, pozwalam so- bie wyjaśnić, że: nie umniejszając w niczym zasług urzędników w dzie- le zniszczenia sztuki w Polsce, w imię sprawiedliwości należy podkre- ślić znaczne osiągnięcia w tej dzie- dzinie również naszych artystów. Np. w sztuce plakatu, która od pół roku znajduje się w stanie upadku, co jest zdarzeniem paradoksalnym w okresie „nowego etapu”. Afisz polski, jak wiadomo, stanowił coś w rodzaju „wariackich papierów, formalizmu” i nawet w latach sek- clarskiego ucisku ducha, gdy wszę- dzie malowano diarskich i sztyw- nych robotników — można było raz po raz zobaczyć plakat, który bez wstydu dalaoby się pokazać ktrejś z mniejszych stolic europejskich. Tymczasem ostatnio młodzi malar- rze ze stronnictwa „Arsenalu”, lau- reaci nagród państwowych, pokry- wają ściany odciskami brudnych rąk i nóg, głowami o potwornych grymasach celem straszenia dzieci, tak że chodzenie po mieście stało się jeszcze jędrą przykrością żywo- wa. (Użycie motywu głowy, należą- cego do domeny portretu, w grafice afiszowej, od dawna uchodzi za po- dobnie nietaktowne, co np. w poezji postużenie się zwrotem „Kobieta jak kwiat” lub „rozarte serce”; na wy- stawach majstrów jak Savignac, po- śród setki afiszów, twarz ludzka by- ła rzadkością — i to występowała przetransformowana graficznie, ni- gdy jako półplastyczny tors „z cie- niami”, „z ekspresją” która nie zna-aczy, „z modelunkiem” stanowią- cym zaprzeczenie logiki plakato- wej).

Z okazji roku mickiewiczowskie- go nasi młodzi dali isiny koncert partactwa: portret wieszczka wyrwa- ny z dzieł zbiorowych, zapłut i niedbale opatrzone wstążeczką, lub różą nabazgraną z boku, u góry, lub u dołu itd. Wydaje się mało warta z trzaskiem dokonywana „rewolu- cja” oglądających się na Zachód młodych, proponujących znacznie mniej, niż to co po cichu i z istot- nym sukcesem, inspirując się rów- nież sztuką nowoczesną, pięć lat te- mu zrobili Tomaszewski, Lipiński, Trepkowski, Siwkowski, Mroszczak i inni graficy starszej generacji (je- śli tak można nazwać artystów le- dwie 40-letnich).

Sztuki, którą chcielibyśmy stwo- rzyć, wciąż nie ma, co nie znaczy, że nie należy jej się z uporem doma- gać. Jednakże cechujące nową „szkołę” zamiłowanie do plagiatu, niechęć do myślenia, oraz wstręt by spojrzeć na swój kraj własnym okiem, zamiast poprzez sztamę we- dług Steinberga, Picassa, Grosza itd., nie pozwalają przewidywać na najbliższe lata niczego nowego.

Zygmunt Kalużyński

*) Przybysz postuluje zanik twórczości „sztalagowej”, jako anachronicznej i nie- przystającej do mas. Nie wydaje się to słuszne, malarstwo olejne jest jakby filozoficznym warsztatem dla sztuki w ogóle; zaś nawet pojedyncze obrazy, zamknięte w pałacu, jak „Mona Liza”, miały przez pośrednie promieni- wanie olbrzymi wpływ na wychowanie pu- bliczności.

nowoczesności

ze strony 1)

impresjonistycznego u nas, nie do- szli do wielkich sukcesów, i więcej prawdy o polskim pejzażu opowia- dają mało ambitni lecz dokładnie obserwujący rzemieślnicy, jak Fa- lat czy Chelmonski, czy nawet tacy partacze jak Rapacki, specjalista od „jesiennych liści”. Na anachroniz- mie geograficznym, tj. na przenie- sieniu sposobu patrzenia z kraju do kraju, zrobił natomiast karierę Pankiewicz, jeden z nielicznych Po- laków notowanych na rynku pary- skim: malował on pejzaże prow- ansałskie, te same co van Gogh, w atmosferze melancholii wzorowanej na „polskiej ciemnej jesieni”, co by- ło we Francji nowym sposobem wi- dzenia oklepanego tematu, i niespo- dziewanie zapewniło artyście miej- sce na giełdzie malarskiej.

Lektura współczesnych poetów polskich, obserwujących pejzaż, jak np. Czechowicz, sugeruje pewien sposób patrzenia. Czechowicz ma przed sobą płaski teren o nieboga- tej roślinności, jaki zdarza się w lubelszczyźnie, kielecczyźnie, ra- domskim. Nie ma tu nic, co by fra- powało wyobraźnię; ale uważna kontemplacja szarych z pozoru szczegółów, trawy, drobnych owa- dów, zwiedziach roślin, dostarcza wreszcie obserwatorowi treści do przeżycia wewnętrznego. Czecho- wicz notuje tu dwie charaktery- styczne reakcje psychologiczne: przede wszystkim uwagę; malarz, któ- ry chciałby go odwzorzyć, nie mógł- by, jak np. van Gogh, Renoir czy Dufy, dać „eksplozji” uderzającej widza w pierwszej sekundzie, ale powinien „ukryć” elementy swoje- go obrazu, by wywiał się one stopniowo. Czechowicz następnie znajduje określenie nastroju, które, jakkolwiek proste, wydaje mi się — jako wychowanemu w podobnym krajobrazie — niezmiernie trafne. Jest to reakcja człowieka nowocze- snego, doświadczonego kataklizma- mi społecznymi, który nie szuka ro- mantyzmu, dramatyzmu, czy banal- nej melancholii; nie podnieca też w sobie dumy posiadacza, szowini- sty czy metafizyka — budzi się w nim jednakże uczucie zrozumienia, które poeta definiuje za pomocą zwrotu negatywnego, lecz wyrażają- cego ludzką satysfakcję: bez żalu.

„Magia przedmiotów”

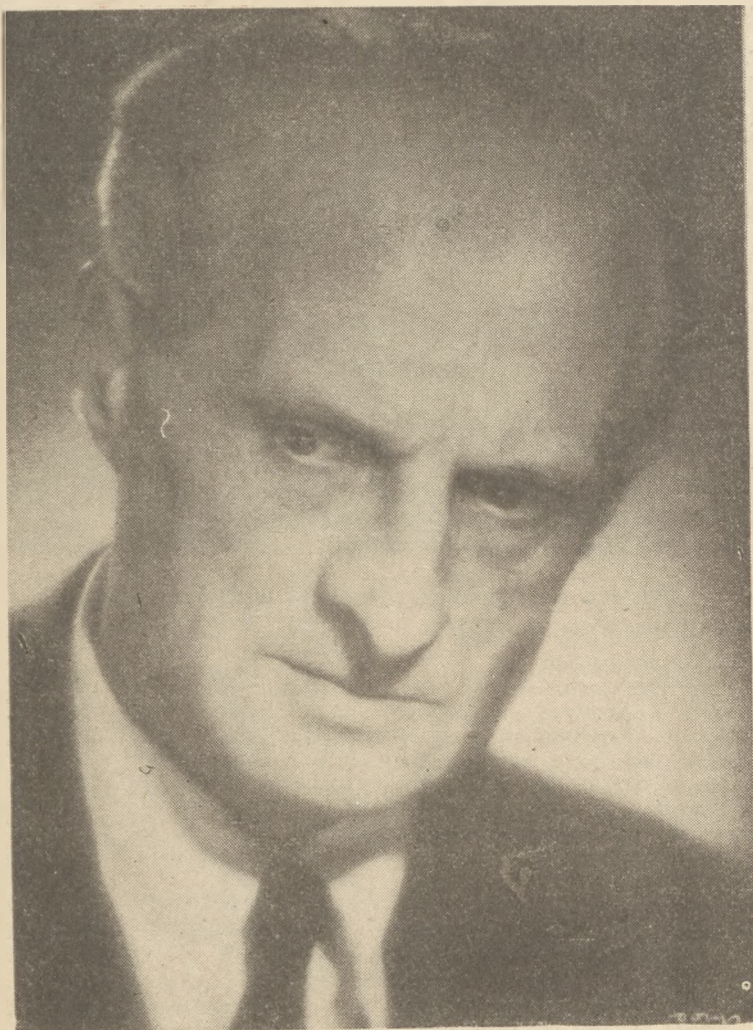
Zapewne, postawa Czechowicza, biernego i nieco abstrakcyjnego ob- serwatora, nie będzie nam bliska — niemniej daje on artystycznie war- tościową, współczesną próbę inter- pretacji naszego pejzażu. W ujęciu jego zwraca uwagę nacisk, jaki kla- dzie on na obserwację szczegółów. Malarz inspirujący się podobnym sposobem patrzenia, mógłby tu za- stosować doświadczenia artystów za- chodnich „poęgujących przedmio- ty”. Teorie ich znajdujemy w ma- nifeście szkoły Chirico. „Przedmioty najbardziej potoczne napełniają laską naszą duszę”. „Winnymi odna- leźć z powrotem magię przedmio- tów, promieniającą z obrazów mi- strzów Renesansu, którzy dzięki kompozycji, perspektywie i umie- jętności rozgrywania próżni i peł- ni, ukazywali cud wzajemnych sto- sunków między rzeczami, cud roz- mazany przez impresjonistów w fa- szach pleneru”. W praktyce, malar-



Pejzaż z okolic Lublina. Fotografia Wł. Sławnego

JANUSZ STRADECKI

O pierwszym tomie „Dzieł” Juliana Tuwima



do stroficznych w tomiku („Nasza mądrość”), 4. — zmiany w pisowni wiersza „O mowie rosyjskiej”, 5. — różnice graficzne w tekstach wierszy: „Do krytyków”, „Dwa wiatry”, „Pieśń o białym domu” etc. Być może, iż wydawcy mieli prawo wprowadzić te odmiany tekstów. Prawem czytelnika będzie jednak zapytać, co skłoniło ich do takiego postępowania, szczególnie jeśli „Dzieła” mają być „pierwszym stopniem” do wydania naukowego.

Poważne zastrzeżenia budzi dział wierszy z rękopisów. Wydawcy pozostawili domyślności czytelnika wszystkie sprawy związane z autografem i jego źródłami. Jedyny (w obu woluminach!) komentarz źródłowy o rękopisie znalazł się przy żartobliwym wierszku „Do kelnierki w Kopcusku”, którego miejsce na pewno jest gdzieś indziej (w tomie satyr i humoresek), a nie pomiędzy jednym z najpiękniejszych liryków o socjalizmie („O nas zakochanych”) i wzruszającym wierszem o ojcu. Wbrew zapowiedziom wstępu w dziale tym znalazły się fragmenty wierszy nieskończonych, sugerując że są jedyne i najważniejsze. Wiersze z rękopisów nie są podane z odpowiednią dla wydania ineditów takiego poety jak Tuwim pieczołowitością. Np. nie zawsze są oznaczone wypustki, przy fragmentach opuszczonych („Rozmyślenia”), nie zawsze oznaczone kropkami wiersze nieskończone („Nie poradzi tu żaden protokół...”, prawdopodobnie też „Zawsze mi się w życiu szczęściło...”). A co oznacza przy wydawaniu wierszy z rękopisów brak komentarza niech powie informacja (oczywiście nie podana przez wydawców), iż rozpoczęty wiersz „Holdy” zaczął pisać poeta bezpośrednio pod wpływem tragicznej wiadomości o śmierci Gałczyńskiego, w grudniu 1953 i już nie zdążył dokończyć. (Wiedząc o tym — inaczej chyba odczytamy tę strofę!).

Wbrew sugestii tytułów („Dzieła”, „Wiersze”, „Wydanie zbiorowe”), a zgodnie zresztą z zastrzeżeniami w przedmowie, wydanie jest dalekie od kompletności. Wprawdzie po raz pierwszy w Polsce Ludowej przypomniano tu bardzo wiele utworów od dawna nieprzodrukowywanych (o ich ilości niech zaświadczy fakt, że np. na 55 wierszy z „Rzeczy czarnej” — 17 wydrukowano po raz pierwszy po wojnie), materiałów jednak nie wyczerpano. Niepokój budzi nie tyle sam fakt braku pewnych utworów, lecz raczej brak ścisłego określenia zasad przeprowadzonej selekcji. Tak np. jeśli chodzi o wiersze młodzieńcze, drukowane w dziennikach łódzkich, Gomułki zapowiada w przedmowie tylko dwa, wydrukowano ich jednak osiem, w rzeczywistości było ich w dziennikach łódzkich kilkanaście. (Nie weszły do tomu m. in. wiersze drukowane w dziennikach łódzkich w latach 1915—1918; „Jesienią”, „W karczmie”, „Wiew”, „Stypa”). Uwzględnienie tylko ośmiu przy równoczesnym braku informacji o innych stwarza niebezpieczne sugestie, iż reszta nie godna jest przedruku. Podobne wątpliwości budzi wybór wierszy nieskończonych, tym bardziej, że wbrew zapowiedziom nie „zostały konsekwentnie pominięte” utwory o dużych lukach tekstowych” i w dziale tym znalazło się parę wierszy ledwo rozpoczętych.

Najogólniej można wskazać następujące luki i omisszenia w omawianym tomie. Nie weszły do tomu: debiut Tuwima (wiersz „Prośba”, wielokrotnie przedrukowywany), olbrzymi blok ineditów młodzieńczych, wiersze z dzienników łódzkich z lat 1913—1917, z rękopisów późniejszych bardzo daleko jest do wy-

czepiania „okrucich poetyckich” i utworów nieskończonych.

Z wierszy rozproszonych w czasopiśmie z okresu międzywojennego przykładowo wymienić można: „W gęstwinie” (Kurier Polski 1920), „Romans romantyczny” (Kurier Literacko-Naukowy 1928), „Wspomnienie” (Gazeta Polska 1933). Z rękopisów z lat ostatnich przed 1953 r. — „Wall Street” (nieskończony), „Do robotnika” (nieskończony), „List do poetów gruzińskich” (nieskończony), „Czerwony krawat” (nieskończony).

Wreszcie zastrzeżenia budzi stosowanie układu chronologicznego w wypadku, gdy dany nie są ustalone (dział 4 i 5). Niedatowane wiersze z czasopiśm nie mają adresu bibliograficznego, co w wypadku braku daty powstania byłoby orientującą wskazówką. Chronologia w dziale „Z rękopisów” jest zresztą błędna: wiersz z roku 1925 znalazł się po wierszu 1927, a przedzielił go wiersz niedatowany.

Rezygnując z dokładniejszego omówienia planu wydawniczego tomów następnych pragnę tylko zasygnalizować niepokój najożywiejsze: podając powody pominięcia w obecnym wydaniu wielu utworów „estradowych i humorystycznych” Gomułki tłumaczy to koniecznością „większego dystansu czasowego” w stosunku do tego rodzaju literackiego. Trzeba stwierdzić, iż jest akurat odwrotnie: aktualna satyra estradowa staje się coraz mniej komunikatywna w miarę upływu czasu. W ślad za tym niepokoi ogólnikowość zasad podanych w przedmowie, jeśli chodzi o zbieranie tych materiałów. Czy decydują tu przypadek? Czy w wypadku gdyby fraszki „Lipa” i „Różnica” nie „zostały zapomniane” przez redaktora Miłczera nie byłyby przedrukowane z przedwojennych „Szpilek” i nie znalazły się w „Dziela”? Żaden szczegół nie jest tu bez znaczenia, jeśli mowa o wydaniu satyr i humoresek tego, który dokonał zasadniczego przełomu w polskiej satyrze i w polskim typie humoru.

Wydaje się, że obok uwag ogólnych, przedmowa do wydania „Dzieł” Tuwima, powinna zawierać sprobmatyzowany opis spuścizny poety, oraz podać dokładne zasady jej wydania.

Kończąc powyższe uwagi wypada nie raz jeszcze podkreślić: nie postuluje pełnego wydania pism Tuwima. Słuszne są zastrzeżenia Gomułki, że wiele wierszy nie dojrzało do przedruku. Jak zwykle w takim wypadku w wielu utworach zmarłego poety występują intymne koneksje osobiste, niemożliwe do publikacji zaraz po śmierci autora. Niemniej nie zawsze to tłumaczy opuszczenia wierszy, których źródła ogólnie podałem. Powiedzieć wyraźnie: wydanie dzieł Tuwima, w edycji tego typu nie musi być **pełne**, ale **możliwie pełne** i opatrzone przypisami. W przypisach nie chodzi o przesadną precyzję i popisy erudycji. Ich wzorem nie będzie tuwimowski „Słowiczek”, ale tuwimowski edytor, który wysiłek ich autora nie cofający się przy udostępnieniu zapomnianych tradycji kultury narodowej, przed zredagowaniem najbardziej trudnego komentarza źródłowego. Dopiero takie wydanie stanowiłoby zapowiedziany próg do wydania naukowego.

PS. Lichy papier książki i niezaspokolenie zasady drukowania każdego wiersza od nowej kolumny, świadczy, że wydawnictwo nie wyżyło wszystkich swoich możliwości, aby zapewnić „Dziela” Tuwima stosowną szatę zewnętrzną.

Janusz Stradecki

Nowe książki

Oto barwne książki dla najmłodszych i młodych czytelników. Będą wśród nich — wybierać ci zupełnie mali, dla których rozstrzygający i nieodparty jest urok okładki i ilustracji, trochę starsi z określonymi już upodobaniami literackimi a także rodzice, kierujący się często w wyborze wspomnieniami swoich pierwszych wrażeń nad książką. Czy każdy znajdzie to czego szuka? Czy wszystkie gusty, wszystkie potrzeby zostaną zaspokojone? Przyjrzyjmy się z bliska niektórym tomom tegorocznego gwiazdkowego kramiku „Naszej Księgarni”.

A więc drugie wydanie „Wierszy dla dzieci” Tuwima z ilustracjami Olgi Siemaszkowej zawierające całokształt twórczości poetyckiej autora przeznaczony dla młodych czytelników z ulubioną „Lokomotywą”, „Staniem Trąbalskim”, i „Zosią samosia” — jedna z książek, które niedługo pozostają na półkach księgarskich. Z myślą o tym samym najmłodszym czytelniku wydano zawierający dwadzieścia kilka wierszyków i dwa większe utwory zbiorów Ewy Szulbarg-Zarembiny zatytułowany „Na listeczku kalinowym” (cena zł 15,20) z bardzo ciekawymi, pięknymi w kolorze i rysunku ilustracjami Teresy Tyszkiewiczowej. Wśród gwiazdkowych tomików znajduje się także wybór dawnych wierszy Janiny Porazińskiej „Piotki i śmieszki” zilustrowany przez Z. Rychlickiego, „Bajka o Carewiczu Iwanie i o Burym wilku” Żukowskiego w przekładzie Anatola Sterna (cena zł 9,00) z okładką przedstawiającą wspaniałego wilka szubującego wśród gwiazdkowych nocnych z dziełami carewicem na grzbiecie, „Pan Doremi i jego siedem córek” Jana Brzechwy i Jana Marcina Szancera to zupełnie nowy nieznanym typ książki dla dzieci. Rodzaj elementarza muzycznego wprowadzającego w świat, przystępny, dowcipny sposób w świat dźwięków pisanych. Świetny wiersz Brzechwy i piękna ilustracja Szancera zapoznają małego czytelnika z podstawowymi pojęciami muzycznymi: tajemnicą pięciolini, nazwami instrumentów. Ta niezwykle pomysłowa książka to nie tylko atrakcyjna lektura, ale poważna pomoc naukowa w umuzykalnianiu dzieci.

Dla 9—10-letnich odbiorców przygotowała „Nasza Księgarnia” m. in. drugie wydanie (pierwsze było czytelnikowskie) „Dzieci z Nuhaw” Karin Michelis (tłumaczenie T. Zabłudowskiego, ilustracje B. Zieleńca, cena zł 6,50). Jest to powieść z życia dzieci z przedmieść Kopenhagi. „Król Maciuś Pierwszy” Janusza Korczaka (cena zł 20,00) ukazał się przed kilkoma miesiącami. Obecnie dodrukowano 30 tys. egzemplarzy tak, że w witrażach księgarskich pojawi się znowu ta piękna książka z portretem bohatera wykonanym — podobnie jak ilustracje w tekście — przez J. Srokowskiego. „Der Zauberlehrling” — „Uczeń Czarnoksiężnika” Goethego jedna z najpopularniejszych baład niemieckiego poety w przekładzie Hanny Januszkiewiczkiej i z ilustracjami Olgi Siemaszkowej (cena zł 8,00) to właściwie wielobarwny album opowiadający zarówno tekstem jak i pomysłowymi planszami historię lekkomyślnego ucznia i mądrego czarnoksiężnika. Podobny typ wydawnictwa reprezentują dwa tomy baład Mickiewicza. „Wybór”, zawierający siedem najpiękniejszych spośród nich — ilustrowany przez J. M. Szancera i „Pani Twardowska” ze wspaniałymi tryskającymi humorem i werwą, nacechowanych znajomością życia obyczajowego Polski planszami Z. Rychlickiego, które otrzymały zresztą specjalną nagrodę plastyczną. Wśród wielu wydawnictw mickiewiczowskich, jakie ukazywały się w tym roku, dzieci otrzymują także książkę o życiu wielkiego

poety — zbiór opowiadań o Mikołajcu piora W. Grodzkiej, zatytułowany „Sładami poety” (ilustracje L. Buczkowskiego, cena zł 5,50). Są to opowiadania związane z różnymi okresami życia wielkiego poety uwzględniające wydarzenia, które wywarły wpływ na jego twórczość. Książka ta zbliża i wiąże uczuciowo dziecko z życiem i twórczością Mickiewicza i może służyć jako wydajna pomoc w pracy szkolnej.

Dla 10 — 13-latków przeznaczony jest zbiór polskich baśni ludowych piora Janiny Porazińskiej „Za trzyczęciwą rzeką”. Prawdziwy folklor, bogaty język polskiej baśni trafią nie tylko do dzieci, będą z pewnością także lekturą dorosłych.

Wiele pięknych legend i baśni z historii Gdańska na przestrzeni od XIII — XVIII wieku znajdują młodzi czytelnicy w zbiorze „Określ w herbie” F. Fenikowskiego ilustrowanym przez W. Majchrzaka i C. Truchanowską (cena zł 5,00).

„Porwanie w Tutiurlandzie” Żukowskiego z ilustracjami A. Marchewskiego, jedna z opowieści przeznaczonych dla dzieci od lat dziesięciu do stu ukazuje się po raz pierwszy w wydaniu „Naszej Księgarni”. Trafi na pewno bez trudu do rąk i wyobraźni adresatów, podobnie jak zbiór opowiadań autora „Księgi urwisów” E. Nizurskiego „Dziennik od świętego Floriana” (Cena zł 6,75).

Oczywiście nie możemy w tym krótkim z konieczności przeglądzie wymienić wszystkich tytułów, jakie znajdują się do dyspozycji czytelników w najbliższym czasie. Chcielibyśmy zwrócić jeszcze uwagę na dwie piękne baśnie W. Sieroszewskiego „Dary wiatru północnego” (ilustracje Jerzego Karolaka, cena zł 12,40) i tegoż autora „Bajkę o żelaznym wilku” zilustrowaną przez Bogdaną Zieleńca (cena zł 20,30). I jeszcze kilka słów o klasycie dziecięcej, o tych książkach, do których mamy wiele sentymentu, bośmy się na nich wychowali: A więc Deotymy „Panienka z okienka” z ilustracjami Janusza Grabińskiego, wydanie wyposażone w słownik wyrazów staropolskich (cena 12,10), „Serce” Amicisa w przekładzie Marii Konopnickiej, zdobne w przedruki miedziorytów włoskich, wreszcie trzatomowa powieść podróżniczo-fantastyczna J. Verne’a łącząca się poprzez postaci bohaterów z „Dzielnymi Kapitanami Granta” i „Dwudziestoma młodymi podmołskimi żegluga” — „Tajemnicza Wyspa” w przekładzie J. Kaczmarewicza i z wstępem Z. Rytki. M. Sadoveanu „Wyspa kwiatów” jest jedną z nielicznych u nas książek tłumaczonych z języka rumuńskiego (przekład L. Florans, ilustracje J. Czerwinskich, cena zł 8,00). Opowiadanie osnute jest na tle wydarzeń z roku 1888 — buntów chłopów rumuńskich. Fabuła rozgrywa się na bogatym tle przyrody tego kraju i pozwala zapoznać się z życiem obyczajowym dawnej Rumunii. „Wyspa kwiatów” jest już jednak lekturą dla najstarszej młodzieży szkolnej z klas licealnych. Sposród wydawnictw młodzieżowych anonsujemy „Huragan” Gsiorowskiego z postawami L. Przemskiego i ilustracjami L. Maciaga (cena zł 17,75). To pierwsza część wielkiej epopei napoleońskiej zaopartą na przypisy, małą kronikę historyczną epoki i mapę obrazującą przebieg akcji powieści będzie zapewne chętnie czytana przez młodzież.

„Nasza Księgarnia” zapowiada także w okresie przedświątecznym „Wiersze o Starym Mieście” Orta — piecyk starej Warszawy, zilustrowane reprodukcjami wybitnych artystów z okresu od końca XIX wieku do międzywojennego dwudziestolecia. Poprzedza książkę wstęp W. Żukowskiego — gawędę o Arturze Oppmanie i historii Starego Miasta.

Na koniec wydawnictwo albumowe „Ziemia rodzinna”. Stroną tekstową, wyborem wierszy zajęli się Tadeusz Kubiak i Artur Międzyrzecki, fotografie ułożył i zbierał Edward Hartwig. Motto do tej książki zaczerpnięte jest z wiersza W. Broniewskiego:

Ziemia, która kwitniesz wiosną,
owocujesz jesienią,
kocham cię mocno,
ziemio.

Wesły więc do tego albumu wiersze o Warszawie, Toruniu, Lublinie i Żelazowej Woli, o Pomorzu, i Śląsku, o wielu pięknych zakątkach naszego kraju. W spisie treści znajdujemy nazwiska Tuwima, Gałczyńskiego, Staffa, Broniewskiego, Jastruna, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, Dobrowolskiego, Kamienieckiej i Różewicza i wielu innych.

Na zakończenie kilka słów o nakładach. Cyfra drukowanych egzemplarzy nie bywa niższa od 30 tysięcy, nie radzimy się jednak sugerować cyframi. Zapotrzebowanie na książkę dziecięcą rośnie. Wydawnictwo podnosi swoją produkcję z roku na rok. W 1954 roku łączna cyfra nakładu „Naszej Księgarni” wynosiła ponad 15 milionów egzemplarzy, w roku bieżącym przekroczy 17. W dalszym ciągu jednak nie ma remanentów. Potrzebujemy jeszcze więcej książek. Młody czytelnik czeka. Praktyczna usługa na najbliższy przedświąteczny okres — trzeba się śpieszyć! W przeddzień świąt nie będzie już zbyt wielkiego wyboru.

K. Nasa

KORRESPONDENCJA • KORRESPONDENCJA • KORRESPONDENCJA

W sprawie wierszy Tuwima

były publikowane, a zawińli czytelnikowi „Nowy Wybór Wierszy” z r. 1913, jaki ukazał się jeszcze za życia Poety, ale właśnie z owym lapsusem. To korektorskie przeoczenie spazca zupełnie intencję wiersza i pojęcie przedostatniej strofy.

Chodzi o następujący fragment: „Bo są najbliżej do człowieka, / Bo ona — celna i ruchliwa — / Jak nie przez igłę mnie przewleka / I mocnym ściegiem z życiem zasywa. / Bo krąży krwią w przenikających światła, / Bo — czestolwa elektryczna — / Clarkami po sumieniu lata / Ta polityka — poetyczna.”

Podaję tekst w formie p o p r a w n e j. Jest on tak oczywisty, tak czysty (trochę powyższa tak „nieuchronnie” wynika z całości wiersza, że trudno sobie wyobrazić inne wyraży. Zresztą spojrzmy na zakończenie poprzedniej strofy „Zdumione przecierając oczy / Poeta — hardzo polityczny...”

Tymczasem, mechanicznie powtarzając „Pierwobłąd”, myślenie drukują także „Szpilek” w późniejszym tuwimowskim nrze z dn. 3.1.54. Redaktorzy, jak pamietał, Marjanowicz i Polanowski, zorientowali się w okaleczeniu tekstu, ale egzemplarze niestety, były już rozkolportowane.

Teraz, na dobitkę w wydaniu zbiorowym znowu czytamy uparty błąd w zakończeniu przedostatniej strofy: „...Bo — czestolwa elektryczna — / Clarkami po sumieniu lata / Ta p o e t y k a — poetyczna.”

Masło maślane. Właśnie przenikanie poetyki i polityki, w tym kłopotliwym wodniu, temat utworu, — dyktuje ostatni czterowiec.

Bom p r z e z n i ą, przez tworzącą, / I wieków sens, i zwykłych godzin: / Nieustająca matka moja, — / Epokę, co mnie co dzień rodzi.

Rzecz prosta, nie p r z e z „poetyczną poetykę”, lecz — powtarzam — „politykę”, — chyba zupełnie jasne! I tytuł wskazuje!

Szanowny Panie Redaktorze!

Piętny dla słowa, w tym również własnego, cechował zawsze Juliana Tuwima. Mówił oczywiście trzmiem, ale właśnie one nie zawsze są rozumiane i często z winy redaktorów grzytnie w nowodrukowanym utworze jakiś przykry dysonan. Dla dokumentniejszego wywołania drwiał otwartych przytoczę powien epizodzik spotkań z Poetą. Otóż w rozmowie przy stole Tuwim ostro zaprzeczył mój twierdzeniem, jakoby w przedwojennych małych hufelkach, „knapczekach” podawano kawior. Powołano się na „Bufietade” z „Kwiatów Polskich”, gdzie jest właśnie mowa o spornej potrawie. Gdy, wróciwszy do domu, odszukałem odpowiedni werset i wystawiłem list z cytatem, Poeta odpisał natychmiast, przytaczając znaną anegdotę o królu i skazniku (list z odpowiedzią dogonił mnie w górach, dokąd na drugi dzień po rozmowie jechałem, lecz Tuwim nie miał cierpliwości, by zostawić „sprawę otwartą”). Przypomniałem historyjkę o tym, jak zwrócono się do monarchy z zapytaniem o los jakiegoś wójnika: władca napisał w odpowiedzi: „zabić nie można ulaskawić”, a w braku przecinka można było odczytać także: „zabić, nie można ulaskawić”, jak i „zabić nie można, ulaskawić”. Mój błąd interpretacyjny wynikał z tego, że redakcji pierwszego wydania „Kwiatów” gdzie w „Bufietadzie” czytamy: „...Kawior, ubogich ust pokusa...” — podczas, gdy w oryginale, a także dalszych wydaniach (np. Czytelnik 1954, s. 164) jest: „...Kawior ubogich, ust pokusa...”

I — chodzi o metaforyczne określenie wymienionego niżej śledzia. W śmiecie — z przystawkami...

Rozwodzi się nad tym dlatego, że w zbiorowym wydaniu dzieł Juliana Tuwima (Czytelnik 87), pod red. Juliana Gomułki, Jarosława Iwaszkiewicza, Mieczysława Jastruna i Antoniego Słonimskiego — już zgryźniali dwa błędy redakcyjne!

Pierwszy z nich powtarza się uparcie i w innych wydaniach, gdzie „Jmby”

wielkość dorobku poety i rozmaite trudności związane z zebraniem i wyborem jego spuścizny, zrozumienie jak trudne i odpowiedzialne zadanie stało przed wydawcą „Dzieł” Juliana Tuwima.

Przystępując do omówienia zasad przyjętych przez wydawców do pierwszego tomu „Dzieł”, obejmującego wiersze liryczne, od razu trzeba stwierdzić, iż wydawcy zrezygnowali z pełnego, „krytycznego” i „naukowego” wydania „Dzieł” poety.

Wydawcy nie zamierzając dać wydania naukowego — nie zrezygnowali jednak z wprowadzenia szeregu zasad przyjętych w wydaniach krytycznych. (Próbowali np. ustalić daty powstań utworów, wydali część wierszy z rękopisów, próbowali zebrać wiersze z czasopiśm itd.). Realizując swoje zamierzenia zrezygnowali jednak z koniecznego w takim wypadku aparatu naukowego. (Najbardziej zewnętrznym tego objawem jest brak przypisów i komentarzy; o środkach zastosowanych przez wydawców — niżej). W rezultacie otrzymujemy wydanie, budzące poważne zastrzeżenia zarówno ze strony naukowej, jak i ze strony zadań stawianych wydaniem popularnym. Wydaje się, iż takie wydanie Tuwima nie zrealizuje wytyczonego mu przez wydawców w przedmowie celu: nie „będzie pierwszym stopniem do wydania zupełnego i krytycznego”, natomiast bardzo takie wydanie opóźni.

Za podstawowe źródło pierwszych pięciu tomów liryków Tuwima wydawcy przyjęli wydanie „Wierszy zebranych” z roku 1933. (Jest to drugie wydanie „Wierszy zebranych”. W sumie było ich sześć. Ostatnie w 1946 roku). W związku z tym wypadnie stwierdzić, że: 1. — nie jest to ostatnie wydanie wierszy za życia autora (wiele z wierszy było drukowanych w wyborach, jeszcze po 1946 roku), 2. — są wątpliwości, czy właśnie to wydanie było najbardziej starannie opracowane przez autora, 3. — wbrew zapowiedzi wstępu, w przedrukach poszczególnych tekstów wydawcy nie korzystali wyłącznie z wybranego, jednego źródła, lecz korygowali teksty wierszy, wprowadzając zmiany i uzupełnienia z różnych źródeł i nie informując o tym czytelnika. Korzystanie z kilku równoległych źródeł, chociaż za podstawę przyjęto tylko jeden tekst, powinno ograniczać się do wypadków niewątpliwych i korygować tylko błędy oczywiste. Tak jednak nie jest. Przykładem — zmiana tytułu wiersza „Dziadziła” na „Dziadziłja”.

W stosunku do następnych trzech tomów liryków Tuwima i wierszy dla dzieci, w ogóle brak dokładnej informacji co stanowiło podstawę ich wydania. I w tym wypadku mamy do czynienia z kompilacją wielu źródeł. Wbrew pozorom nie jest to jednak rezultat porównania wszystkich istniejących odmian tekstów.¹⁾ Świadczy o tym chociażby pominięcie w kilku wypadkach takich danych, jak daty powstań, znajdujące się w poszczególnych tomikach. I w tym dziale mamy do czynienia z szeregiem omamian tekstów, których źródło nie jest jasne. (Przykłady: 1. — wersja wiersza „Do prośłego człowieka”, nieco różna w stosunku do wszystkich wydań „Biblii cygańskiej”, 2. — wprowadzenie tytułów wierszy, których nie było w tomikach „Trawa”, „To było tak...”), 3. — tekst niestroficzny w stosunku

Zapoczątkowanie publikacji dzieł Juliana Tuwima to poważne wydarzenie naszego życia kulturalnego. Twórczość Tuwima dostępna dotąd fragmentarycznie tu po raz pierwszy ma zostać zgromadzona. Czy pierwszy tom „Dzieł” pozwala przypuszczać, że wydawnictwo istotnie zaspokoi oczekiwania miłośników poety? Czy spełni ono wymagania, które zwykło się stawiać tego rodzaju przedsięwzięciom?

Na wstępie kilka ogólnych informacji o spuściznie Juliana Tuwima. Jak wiadomo, olbrzymi dorobek poety obejmuje najbardziej różnorodny rodzaj twórczości i pracy edytorskiej. W skład jego wchodzi, żeby wymienić tylko działy najważniejsze: twórczość poetycka i przekładowa, adaptacje sztuk scenicznych, różnorodne opracowania edytorskie (antologie, wydania zapomnianych poetów i prozaików, kolekcje osobliwości literackich, słowniki itd.), na koniec twórczość estradowa. Olbrzymia ilościowa spuścizna literacka poety nie jest do dziś w całości dostępna w formie książkowej. Znaczna jej część znajduje się w rękopisach w jego archiwum. (Liczne autografy — to inedita. Tu wymienić trzeba przede wszystkim inedita: poetyckie, począwszy od najdawniejszych rękopisów wierszy z lat 1911—1916, aż do najnowszych redakcji brulionowych, pozostałych w tece „Do opracowania”). Wiele utworów poety rozproszone jest po czasopiśmach i trudno dostępnym broszurach. (Przed wszystkim: blok wierszy z dzienników łódzkich z lat 1913—1917 i prawie wszystkie teksty estradowe). Nie drukowane nigdy adaptacje sztuk scenicznych przechowywane są w archiwum poety, częściowo zaś w różnych archiwach teatralnych.

Dzieła edytorskie Tuwima obejmują, oprócz wydanych za jego życia (do których materiały uzupełniające poeta pozostawił w rękopisach), prace nowe w zasadzie ukończone, a jeszcze nie wydane (tytuły tymczasowe: „Antologia parodii”, „Antologia poezji komornej”, „Księga „Rozrywki dla dzieci”). A także prace nieskończone, pozostałe w różnym stopniu opracowania autorskiego (np. „Słownik sowizdrzalski”). Dodać trzeba, iż w archiwum poety znajduje się jeszcze szereg prac, stanowiących rezultat zamiłowań zbierackich i zainteresowań Tuwima, bądź ściśle edytorskich, bądź też takich, których częścią składową jest mniejszy, lub większy wkład twórczości oryginalnej poety. (Ryczałtem wymieniam kilka: 1. Materiały do słownika rymów męskich, 2. Varia lingwistyczne (gwary, fantazje językowe etc.), 3. „Czarna księga” (antologia publikacji endeckich i oenerowskich z dwudziestolecia międzywojennego), 4. materiały bibliofilskie, 5. materiały do życia i twórczości „światowego grafomana Sotera Rozbickiego” oraz wiele innych. W materiałach tych (nieuporządkowanych) znajdujemy często duży wkład twórczości Tuwima, począwszy od zwykłego komentarza, poprzez komentarz poetycki, aż do mniej lub bardziej skróconej redakcji oryginalnego artykułu.¹⁾

Jeżeli więc uprzedzimy sobie

¹⁾ Obecne wydanie pism Tuwima posiada jego prace edytorskie. Część z nich ma ukazać się w innych wydaniach („Antologia parodii”, „Rozrywki dla dzieci”). Prace z pozostawienia edytorskiego i twórczości oryginalnej również w zasadzie nie obejmują do obecnego wydania. Np. gawęda literacka „Wiersz nieznanego poety” przygotowywana do druku w osobnym wydaniu przez J. W. Gomułkę, O. Iosie i innych, dzieło edytorskie Tuwima, które należałoby wydać wraz z późniejszymi jego uzupełnieniami — niestety brak informacji.

²⁾ Np. „Epistola sentymentalna” Powst. w listopadzie 1916; „...Et arceo” — Powst. 12.IV.1922; „To było tak...” — Powst. 18.II.1933; „Eksperyment” — Powst. 21.III. 1932 r. itd.

Z życia ZLP

O teatrze dla dzieci

Właściwie nie był to referat w poczynionym tego słowa znaczeniu, ale barzo żywa i ciekawa gawęda, w której Maria Billizanka z właściwą sobie bezpośredniością opowiadała w Sekcji Literatary dla dzieci i młodzieży o swoich wrażeniach z odwiedzin teatrów dla dzieci i młodzieży w NRD.

W ogóle w NRD istnieje 5 zawodowych teatrów dla dzieci i młodzieży: w Berlinie, w Dreźnie, w Erfurcie. Każdy z tych teatrów ma swój własny gmach, zespoły artystyczne, w tym również i zespoły artystyczne, które roztęły się po szkołach. Programy są tam bardzo starannie reżysowane, bogato ilustrowane, na pierwszym miejscu papierze, wielobarwne, może nie zawsze odpowiadające surowym wymaganiom estetycznym, ale bardzo interesujące. Referentka przywołała ich całe stopy i dawała do przejrzenia obecnym.

Zgodnie z planem, zatwierdzonym przez ministerstwo, w każdym teatrze dla dzieci musi być grane co najmniej 3 sztuki dla dzieci od lat 10-14, jedna sztuka dla dzieci młodszych i dwie dla młodzieży. W Dreźnie przedstawiła ona odbywają się po południu w rozmaitych porach, dla dzieci w Berlinie co najmniej, czasem dwukrotnie w ciągu dnia. Wieceorem dla starszej młodzieży. Grają np. „Intrygę i miłość” Schillera, „Profesora Mameklo” Wolfa. W Dreźnie i Lipsku to samo, co u Brechta: „Karabiny pani Carrar” i „Klasę”. Na próbie w Dreźnie referentka widziała sztukę z życia młodego Schillera, odpowiednią dla młodzieży. Poza tym dają sporo sztuk z repertuaru radzieckiego: „Murzyn Dick”, „Czerwony krawat”, obiegły tu wszystkie sceny. W teatrze „Der Freundschaft” referentka widziała sztukę „Jak hartowała się stal”. Przedstawienie, jak zdaniem, było słabe.

Poza tym dla dzieci grają tu dużo pięknych bajek, między innymi radzieckie, np. „Rzeka”, bardzo udanie wystawiona. W ogóle w repertuarze teatrów dla dzieci przeważa fantastyka. Dzieci doskonale wyposażone technicznie wszystkie pomysły fantastyczne wychodzą niesłychanie efektywnie. Wszystkie teatry mają sceny obrotowe, wyłogi elektryczne, światła nowoczesne, u nas jeszcze nieznane aparaty.

Wracając do tematów sztuk dla młodzieży, sztuk współczesnych, należy podkreślić ich wysoki poziom ideowy i wykazując, młode akty polityczne, ukazana jest osoba hitlerysty, tępiony rasizm, poddane ostrej krytyce zakampane społeczne. Interesująca jest sztuka „Die Trauer”. Rzecz dzieje się w zachodnich Niemczech w szkole przed maturą. Poddany tu jest ostrej krytyce antysemicki stosunek nauczyciela do jednego z uczniów, za którym ujmują się koleżdy, tworząc związek „Trojan”. Szuka o doskonałych rolach, świetna pod względem dramatycznym.

Alle trafiają się i, w naszym rozumieniu, potknięcia. W sztuce „Schneeball” wspaniale wystąpił jeden z bohaterów, polskiego widać raz biele po twarzy, który wywołuje wybuch radości na widowni. Obyrzymie powodzenie ma w teatrze „Der Freundschaft”. Przygoda Tomka Sawyera”, zaczynająca się od sceny zamachu na króla, przez Ku-Klux-Klan aptekarza, którego nogi sterczą z kulis aż do zapadnięcia kurtyny. Dzieci przejmują to zrozumiały grozą. Referentka skrytykowała to przedstawienie na tamtejszej konferencji prasowej i dozwolę się, że ujęcie bandy 12-letnich chłopców, którzy gwałtował w kostiumach Ku-Klux-Klanu. A zatem wpływ tej sztuki nie był dodatni.

W sztuce „Moortbande” dzieci podejmują walkę z Amerykanami, którzy chcą zniszczyć wieś, aby na jej miejscu zbudować bazę lotniczą. Dorosli nie mają odwagi im się sprzeciwić, ale dzieci organizują dywersję, obalając drogową kłosa i uciekając Amerykanów w bagno. Wyłania się pytanie, czy te sztuki można by u nas wystawić. Raczej nie, bo mogłyby stać się szkołą młodoletnich chuliganów (pomysł z obalaniem drogowych kłosów).

Ze sztuk dalekich od spraw wojennych i politycznych interesująca jest sztuka o Danielu Defoe, w której dzieci występują w obronie swego ulubionego autora, na starość żyjącego w nędzy. Reakcja dzieci jest wszędzie bardzo żywa. Kiedy po przedstawieniu zwoływam tamtejszym aktorzy kolejno wychodzą na scenę, dzieci nie tylko oklaskami, ale i okrzykami wyrażają swoją sympatię lub antypatię do postaci scenicznej, którą dany aktor reprezentuje.

Ciekawym szczegółem sprawozdania była informacja o tamtejszym „Związku teatralnym”. Jest to rodzaj dorocznych eliminacji najlepszych zespołów teatralnych w NRD. Po przeprowadzonej ocenie jury wyróżnione teatry dają przedstawienia w Berlinie. To jest wielka wyróżnienie, „Theaterende”.

Na zapytanie, jakie ogólne wnioski można wyciągnąć z obserwacji tamtejszych teatrów, Billizanka odpowiedziała, że jeśli chodzi o repertuar polityczny, daję on młodzieży wychowanie takie, jakie tam jest potrzebne, podkreśla, że przyznają niemiecko-radziecką i niemiecko-polską, miłość do tych, którzy walczyli z faszyzmem, nawiązała do hitlerysty i rasizmu. Pod względem artystycznym duża staranność, ale brak nowości, wysoko postawiona technika teatralna i bardzo staranna organizacja widowisk.

S. P. O.

WANDA GRODZIŃSKA

Wydawnictwo a książka dla dzieci

dziesięć lat pracy wydawniczej „Naszej Księgarni” — to nie tylko historia działalności wydawnictwa, ale również historia niemal całej literatury dla dzieci w Polsce (Ludowej). Gdyby ktoś zadał sobie trud, aby w porządku chronologicznym ułożyć statystykę tytułów książek, które wydawano kolejno od 1945 do 1955 roku — można by już z takich powierzonej danych stworzyć sobie dość jasny obraz, jakim przemianom ulegały poglądy wydawnictwa i pisarzy, jakie problemy wybiły się na pierwszy plan i w jaki sposób przełamywały się w utworach literackich.

Kiedy mówi się o literaturze dla dzieci — należy przede wszystkim podkreślić i podsumować jej osiągnięcia. Nie woim jednak zapominać o jej błędach, o przegięciach, które opóźniły pełny jej rozkwit, a może nawet zahamowały twórczą inwencję niektórych, mniej odpornych pisarzy.

W pierwszych latach powojennych z chaosu dyskusji, z prób ustalania, jakie tematy problematyczne współczesnej będą dostatecznie jasne i zrozumiałe dla najmłodszego czytelnika, krystalizował się powoli plan wydawniczy, plan, który był pierwszym ostrzegawczym sygnałem tak osławionego później, fałszywie pojmnowanego „zamówienia społeczne”.

Słuszne w zasadzie postulaty, że należy dziecko od pierwszej chwili, gdy sięga po książkę, zapoznać z zagadnieniami, nurtującymi umysł społeczeństwa, nie od razu znalazły swoje odbicie w utworach. Nieliczne próby pisarzy w tym kierunku były nieudolne i słabe artystycznie.

Ogół pisarzy, rekrutujących się z okresu międzywojennego z trudem przedzierali się przez natłok nowych zagadnień. Literatura dwudziestolecia stawała sobie zadania ściśle związane z ideologią przedwzrośniową, miała rolę odgrywać w nich czułościową afirmację rzeczywistości i odrzucanie uwagi dzieci od spraw dorosłego społeczeństwa. Dlatego też wydawnictwo w chęci odgrózenia się od tych tendencji popierało nieraz błędy, po omacku szukając nowych dróg i negując prawie wszystko, co pozostawiła w spadku Polska sprzed trzydziestego dwiętego roku. Można było wówczas policzyć na palcach książki przedwojenne, które uzyskały prawo obywatelstwa i zostały wznowione: „Plastusiuw Pamiętnik” M. Kownackiej, kilka opowiadań J. Grabowskiego, część przedwojennych wierszy Porazińskiej, H. Januszewskiej, Krzemienieckiej, Jana Brzechwy i innych.

Abym wypełnić luki polskiej twórczości dla dzieci „Nasza Księgarnia” wydała szereg przekładów z literatury radzieckiej i krajów demokracji ludowej. Zbliżało to do dziecin polskim piśmiennictwo zaprzężonych narodów, statystycznie przedstawiało jednak zatrważający obraz. W r. 1951 ukazuje się około 94 książek polskich pisarzy i 49 przekładów. A pamiętajmy, że był to już szósty rok Polski Ludowej i że ponad 20 polskich pozycji rekrutowało się z wznowień.

Wszystkie, których sprawą polskie dziecko leżała na sercu, uderzyły na alarm. Związka, że książki oryginalne były bardzo słabe artystycznie, dziwaczne, że sztucznie wprowadzoną tematyką społeczną. Mogłabym tu przytoczyć tytuły i nazwiska, ale niech lepiej błędy ówczesne pójdą w zapomnienie. Nie trzeba do nich wracać.

Powstała wówczas jeszcze jedna skaza w obrazie literatury dla dzieci — stworzono fałszywą teorię, wypływającą z błędnego pojmowania realizmu socjalistycznego w książce dla dzieci. Teoria ta głosiła, że aby wychować młode pokolenie w zasadach światopoglądu materialistycznego, należy z piśmiennictwa dla dzieci usunąć wszystko, co było lekturą rozrywkową, zabawową. Wypowiedziano wojnę fantazji, wyobraźni, elementom bajkowym. Wypędzono z literatury dziecięcej wszelkie „nonsensowne” skojarzenia, zapładniające wyobraźnię trzy - czterolatków i zniewalające ich do krytycznego myślenia, a jednocześnie nieodzowne jako czynnik zainteresowania otaczającym je światem. Karmiono tym właśnie najmłodszych moralę, a jeśli już bajką, to tylko opartą ściśle o wątki ludowe, lub zawierającą niewątpliwą, stwierdzoną naukową prawdę przyrodniczą.

Był to okres długi i trudny — okres sztampy i uproszczeń; w imię typowości tępnio każdy przejaw samodzielnego, oryginalnego myślenia, każde odstępstwo od norm, nie wiadomo przez kogo dyktowanych i ustalonych. Brak krytyki z zewnątrz, brak jakiegokolwiek literackiej oceny, jeśli nie będziemy liczyć oceny wewnętrznej wydawnictwa (a jakże często była ona jeszcze mylna) powodował w dalszym ciągu opóźnianie się rozwoju piśmiennictwa dla dzieci. Pisarze ślepo szli za wskazaniami zamówienia społecznego, popełniając utwory ubogie w treść, nieudolne formalnie, alerzeczne, komunistyczne. Nie widać w nich było dojrzałej koncepcji literackiej ani oryginalnego ujęcia spraw współczesnego życia. Nabył często moralizatorski wyraz ideologiczną przyczepkę.

Lata 1952 — 1953 nie przyniosły

nie mniej godny pochwały i gorące poparcia. Należało życzyć „Naszej Księgarni”, aby projektowane od lat biuro badania czytelnictwa nabrało wreszcie rumieńców życia.

Nie mam zamiaru w tym artykule omawiać poszczególnych książek i wystawiać cenzurę. Wśród setek tomów były i są książki bardzo dobre, dobre, średnie i zupełnie słabe. Interesujące spostrzeżenia nasuwa przy czytaniu całego dorobku ostatnich lat fakt, że pisarze o znanych w literaturze dla dorosłych nazwiskach często nie potrafili w książkach dla dzieci odnaleźć właściwego poetyckiego słowa. Czy nie wynika to z tej przyczyny, że pisarz dla dorosłych traktuje tę twórczość marginesowo jako chwilową zabawę, coś w rodzaju czasów dla złapania oddechu? W rzeczywistości pisarstwo dla dzieci wymaga wyjątkowej pracy i wielkiej odpowiedzialności. Młodoletni czytelnik otwiera każdą nową książkę z wiarą, że ona właśnie odpowie na jego pytania, wyjaśni mu wątpliwości, pokaże świat i ludzi, otworzy przed nim drzwi szesamu. Pisarz, który nie chce zawieść takiej wiary, musi zdobyć się na najwyższy wysiłek, aby to co pisze było mądre, artystyczne i poruszające do głębi umysł i serce dziecka.

Rok 1955 jest logiczną kontynuacją podjętej przez „Naszą Księgarnię” rewizji planów wydawniczych. Wyraża się to w szeregu nowych pozycji, poświęconych problematyce współczesnej, z których warto wymienić książki dla przedszkolaków Janczarskiego, Kubiaka, Kozłowskiego, oraz powieści dla dzieci młodszych Marii Kann i M. Jaworzkowej.

Jednocześnie wydawnictwo nie zaniedbuje wznowień książek, których potrzebę sygnalizował teren. Z dawnej literatury wydawała i drukowała po raz pierwszy bajki Sieroszewskiego, a z piśmiennictwa innych narodów książki Carrolla, Kiplinga, Rodari'ego, Trutniewej.

Przy przeglądaniu zestawu książek w ostatnich latach nasuwa się wniosek, że „Nasza Księgarnia” rozszerzyła znacznie możliwości trafiania przez książkę do każdego z tysięcy czytelników, uwzględniając różnorodność ich zainteresowań. Pozostaje mi omówić plany perspektywiczne wydawnictwa na r. 1957—58. Chciałabym tu z uznaniem podkreślić pozycję z dawnej polskiej literatury. Nawiązując do tradycji naszego piśmiennictwa, wskazujemy dziecku na ciągłość naszej kultury, pogłębiały w nim uczucia patriotyczne. Nie jestem pewna jednak, czy wystarczy tylko Ejsmond, Oppman, Ostrowska i Teresa — Jadwiga. Czy nie daby się jeszcze wyciągnąć z niepamięci poezji Lucjana Rydla, Władysława Belzy, prozy Klementyny Hoffmannowej, Marii Werychy, czy Zofii Urbanowskiej. Prawdopodobnie książki te w całości miałyby dla dzieci współczesnych posmak staroświeczny, ale niektóre fragmenty z nich dawałyby dzieciom obraz ówczesnego życia.

Wśród książek współczesnych, wznowianych do tej pory, lub zakwalifikowanych do wznowienia jest jeszcze niedostateczna ilość pozycji, które podsycałyby w młodych czytelnikach miłość ojczyzny i uczucia humanitaryzmu. Tych uczuć nigdy nie dają.

Zestaw książek zaleca się dużą ilością nowych nazwisk tak polskich, jak i pisarzy innych narodów, oraz poprawionymi wydaniem pozycji międzywojennych. Sądzę, że szczególnie cennym osiągnięciem będzie zaplanowane wydanie pracy zbiorowej takich autorów jak: Boguszewska, Jąbrowska, Górska, Korczak, Morcinek, Wasilewska, Rogosówna i Żurakowska.

Nie mniejszą wagę należy przyłożyć do działu książek, które dotychczas były traktowane po macoszemu bądź to z winy pisarzy, bądź z niedopatrzenia wydawnictwa. Mówię tu mianowicie o książkach historycznych i geograficznych — potrzeby tego rodzaju lektury nie trzeba udowadniać.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach plan perspektywiczny na najbliższe lata. Pomimo drobnych usterek jest nakreślony z rozmachem, ma duży ładunek treści, rozmaitości form literackich i słuszną w proporcji dozę fantastyki.

Trudno jest w krótkim zarysie przedstawić rozwój literatury dla dzieci najmłodszych na przestrzeni dziesięciolecia, a tym samym pokazać dorobek wydawniczy „Naszej Księgarni”. W każdym razie nawet skrócone notatki świadczą o owocności wysiłków pisarzy dla dzieci i o wielkim trudzie wydawnictwa, które potrafiło uaktywnić wielu pisarzy, a jednocześnie uprzęścić młodym czytelnikom poznanie klasycznej literatury polskiej, oraz klasycznej i współczesnej literatury innych narodów.

Wanda Grodzińska

SPROSTOWANIE

Komitet Redakcyjny „Dzieli” Adama Mickiewicza stwierdza z ubolewaniem, że przy przeniesieniu z tomu II „Wydania Narodowego” do tomu I „Wydania Jubileuszowego” czterech utworów Mickiewicza, opuszczonych przez przeoczenie nazwisko prof. Konrada Górskiego jako autora objaśnień do owych utworów. Objawienia, wydrukowane w t. I s. 564-600 „Mieszka”, „Pan Amiel”, „Dziwiewy Orlan”, „Kartofli”, są pióra prof. K. Górskiego.

ZA GRANICĄ

„JESLI PICASSO POJAWI SIĘ W STANACH ZJEDNOCZONYCH — będzie musiał zapłacić grzywnę w wysokości 500.000 dolarów. Postanowienie tego rodzaju wydał prokurator stanu Nowy Jork w oparciu o ustawę Smitha. Ustawa Smitha określa antyfaszystowski Pomocny Republikański Komitet Antyfaszystowski Hiszpańskim — jako „organizację wywrotową”. Picasso został wybrany honorowym przewodniczącym tego Komitetu.

*

JOURNEY DOWN A RAINBOW to tytuł dziennika podróży J. B. Priestleya do Stanów Zjednoczonych. Jak pisał „Daily Worker” Priestley krytykuje stosunki panujące w Stanach Zjednoczonych, w pierwszym rzędzie upadek kultury i degenerację gustu zamoznych warstw na Północnym i Wschodzie. Rozmowa z „New Statesman and Nation” przynosi artykuł Priestleya, w którym pisarz broni się przed atakami recenzentów, zarzucających mu wrogosć wobec Ameryki i Amerykanów.

*

ZAKOŃCZYŁ TE HISTORIE NA PEWNO PROKURATOR, pisał amerykańska prasa niemiecka o osobniku nazwiskiem Karl Emerich Kraemer. Aferzysta, który w wojnie przeżył, skazany jako kolaborant, przebywał pod obcym nazwiskiem w Marsylii, po czym wyjechał jako ochotnik do frontu. W wojnie przeżył, skazany jako kolaborant, przebywał pod obcym nazwiskiem w Marsylii, po czym wyjechał jako ochotnik do frontu. W wojnie przeżył, skazany jako kolaborant, przebywał pod obcym nazwiskiem w Marsylii, po czym wyjechał jako ochotnik do frontu.

*

Wydawnictwo „Film na Świecie” winno się znaleźć w rękach każdego twórcy, działacza kulturalnego, miłośnika sztuki filmowej. Prenumeratę przyjmują Oddziały i Delegatury „Ruchu” w miastach wojewódzkich i powiatowych w następujących terminach: Prenumerata półroczna i roczna — do 31.XII.1955 r. ponadto można będzie zaprenumerować pojedyncze numery, a to

identyczni z SS-manem, Oberbannfuhrerem o nazwisku Karl Emerich Kraemer. Ten postępuje nie równie — jak pisał berliński „Sonntag” — czwartym nazwiskiem Gerhard Rustelch. Pod tym nazwiskiem publikuje dla ośmiesięczny antyfaszystyczny, lewicowy satyr — bo „jak się pisze na prawo, to czemu nie pisać również na lewo?” — zawazaa „Sonntag”. Kraemer vel Forestier vel Jontza vel Rustelch po zdemaskowaniu stał się jednym z najpopularniejszych ludzi w Niemczech zachodnich. W licznych wywiadach, w których udzielał rady, sensacji reportażem, powiada, że już w 1944 r. otrzymał nagrodę literacką hitlerowskiego tygodnika młodzieżowego „Der Junge Mensch” — powołanie swoich wierszy przypisuje „zastanowił się nad poezji stylu Hemingwaya”. (a)

*

HELEN KELLER, słynna uczona i autorka antyfaszystycznej, niewidoma i głuchoniema od urodzenia, napisała ostatnio książkę pt. „Nauczycielka. Ann Sullivan Macy” — „W znanych nam dotychczas utworach pamiętnikarskich nie ma przykładu bardziej wrzuszającej miłości — pisał o Helen Keller „The New York Times Book Review” — Walka, jaka toczyła się o wyrwanie z otchłani ciemności i milczenia dziewczynki, która do chwili zeknięcia się ze swoją nauczycielką (do 7 roku życia) była jak dziecko, przez nikogo nie rozumiane zwierzęta — stała się legendą i natchnieniem nie tylko dla ludzi kalekich na całym świecie, ale dla całej ludzkości. Choć Helen Keller nie jest pierwszą głuchoniemą i niewidomą w Ameryce, która nauczyła się mówić, jest jednak najwybitniejszą. Gdziekolwiek przemawia, czy to na rzecz głuchoniemych, czy niewidomych, wywołuje uczucie olbrzymiego szacunku — swoją żywotnością, pragnieniem życia, jakimś blaskiem, który białe z jej słów. To wszystko zawiadza swoją nauczycielką, z którą przez 50 lat szła ręką w rękę i to nie przenośnia, ale słowno, bo w ten sposób Ann Macy wychowała człowieka, który stał się wielką, groźną zagroźnią powracającą ślepotę nauczycielką poświęcała wszystkie swoje siły fizyczne i psychiczne, wszystkie swoje myśli, marzenia i nadzieje na rozwiniecie geniusza ułomkowej wychowanki. Co najgorsze, karmiąc ją, gdy pokój oznaczała dla nas w praktyce zwycięstwo”.

*

„LABOUR MONTHLY” pułkuje w dalszym ciągu nieznane dotąd teksty listów Engelse do Laury i Pawła Lafargue’a. W jednym z tych listów, odnalezionych niedawno, Engels zajmując zdecydowanie negatywne stanowisko wobec poglądów — jakoby wojna była — „możliwością socjalizacji” rozwoju ruchu rewolucyjnego. Engels pisał do P. Lafargue’a w r. 1889: „Jeśli chodzi o wojnę jest to moim zdaniem wydarzenie najstraszliwsze... Wojna, w której uczestniczyliby dziesięć czy piętnaście milionów żołnierzy — przyniosłaby niekalkulowane spustoszenia, całkowite zniszczenie naszego ruchu przy użyciu przemocy, ożywiłaby szowinizm we wszystkich krajach, powodując wreszcie dziesięćokrotnie większy zaważszy narazem, gotzby niż po roku 1815, w okresie reakcji, która wyrosła na bazie wyczerpania sił skrawionych ludzi — i to wszystkim wobec małych możliwości, że taka zaważsza wojna mogłaby przetrwać w rewolucję — tego rodzaju perspektywa nie spełnia mnie grozą. A przede wszystkim byłoby to złe dla naszego ruchu w Niemczech, który zostaby pokonany, rozbity i zniszczony, podczas gdy pokój oznacza dla nas w praktyce zwycięstwo”.

Stanisław Szenic, Józef Chudek NAJSTARSZY SZLAK WARSZAWY s. 365 opr. pit. obw. zł 50.— Wydanie albumowe, bogato ilustrowane.	Miguel de Cervantes Saavedra PRZEMYŚLNY SZLACHCIC DON KICHOTE Z MANCY Przeł. Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny Ilustracje z „Don Kichota” wydane przez Królewską Akademię Hiszpańską, Madryt 1780. T. I s. 573, t. II s. 622 opr. pit. obw. zł 1/II — 52.80
WARSZAWA WIEKU OŚWIECENIA Wybór i opracowanie Jana Kotta i Stanisława Lorentza s. 370 opr. pit. obw. zł 50.— Wznowienie albumowego wydania dzieła, dającego szeroki, plastyczny obraz Warszawy wieku Oświecenia.	PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

BIBLIOTEKA KLASYKÓW FILOZOFII
POLSKA AKADEMIA NAUK
KOMITET FILOZOFICZNY — INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH
EDWARD DEMBOWSKI

PISMA

w 5 tomach, cena zł 82

Tom I. Pisma ogłoszone w latach 1841—1842
Tom II. Pisma z roku 1842
Tom III. Pisma z roku 1843
Tom IV. Pisma ogłoszone w latach 1844—1846
Tom V. Poślowie, przypisy i skrócone (łącznie objętość 2.012 str.)

W wydaniu niniejszym zostały po raz pierwszy zebrane pisma Edwarda Dembowskiego. W 4 pierwszych tomach zebrano teksty pisarzy, tom V zawiera dwa studia o E. Dembowskim. Podległy filozoficzne i społeczne E. Dembowskiego pióra Anny Śliadowskiej i Estetyka E. Dembowskiego pióra Marii Zmigrodzkiej. Zbiór zawiera wszystkie pisma Dembowskiego ogłoszone drukiem, zarówno studia i artykuły teoretyczne, utwory literackie oryginalne i przekłady, jak i recenzje oraz najdrobniejsze nawet wzmianki o nowych książkach czy aktualnych wydarzeniach zamieszczone w czasopiśmie.

Pisma E. Dembowskiego ukaza się w najbliższym czasie nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Zamówienia przyjmują księgarnie naukowe Domu Książki oraz Centralna Księgarnia Naukowa, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7.

== PWN ==

Nakładem Filmowej Agencji Wydawniczej ukaza się w 1956 r. w odstępkach dwumiesięcznych 6 kolejnych numerów nowego wydawnictwa

FILM NA ŚWIECIE

publikującego tłumaczenia najciekawszych artykułów światowej prasy filmowej z zakresu historii i estetyki kinematografii. Pierwszy numer „Filmu na Świecie” przyniesie m. innymi wypowiedzi Eisensteina, Zavatinnego, Renoira, Dowdenki, Mazumury, Gance’a, Cavalcaniego, Trnki, Blasetiego, Kinga i innych.

Wydawnictwo „Film na Świecie” winno się znaleźć w rękach każdego twórcy, działacza kulturalnego, miłośnika sztuki filmowej! Prenumeratę przyjmują Oddziały i Delegatury „Ruchu” w miastach wojewódzkich i powiatowych w następujących terminach: Prenumerata półroczna i roczna — do 31.XII.1955 r. ponadto można będzie zaprenumerować pojedyncze numery, a to

Nr 1 — do 31.XII.1955 r.
Nr 2 — do 15.II.1956 r.
Nr 3 — do 18.IV.1956 r.

„Film na Świecie” będzie również — w ograniczonej ilości — do nabycia w kioskach „Ruchu”. Cena pojedynczego numeru — 12.— zł. Objętość — około 100 stron. Adres Redakcji: Warszawa, ul. Nowy Świat 47, tel. 6-91-16.

Maria Dłuska
MICKIEWICZ A POLSKIE TRADYCJE WERSTKARSKIE
Próba historyczna
zł 9.—

Z. Stefanowa
KATECHIZM PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO
zł 7.40

Zofia Szmydłowa
MICKIEWICZ JAKO TŁUMACZ Z LITERATURY ZACHODNIO-EUROPEJSKICH
zł 9.—

Kazimierz Wyka
O FORMIE PRAWDZIEJ FANTAZJI
PANIA TADEUSZA
zł 7.70

Orniasz Zajackowski
ORIENT JAKO ŹRÓDŁO INSPIRACJI W LITERATURZE ROMANTYCZNEJ DOBY MICKIEWICZOWSKIEJ
zł 5.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

STANISŁAW JERZY LEC

Myśli
nieuczesane

Baran oddaje muzyce swoje jeli-
ta, osioł skórę, koń ogon, człowiek
serce i mózg — lecz jakże niewspół-
mierna część sławy przypada czło-
wiekowi.

Niektóre pomocnice domowe uwa-
żają noszenie fartuszków za ujmę.
Niech wezmą przykład z masonów,
którzy uważają to za zaszczyt!

I tak się plecie trzy po trzy swój
wianuszek sławy.

Nawet kapusta ma głowę. Łeb
trzeba mieć!

Niejedyn co pchał się na świecz-
nik, zawisł na latarni.

Drzewo poznał zło i dobro?
Już dawno zrobiliśmy zeń tablicę
ostrzegawczą.

Niejedni dają się nieść na dalek-
tyce jak dawniej na lektyce.

Czy o człowieku mówią w dżun-
gli: „Ta małpa co wytysiała i wsty-
dzi się mieszkać w kniei?”

Ręka rękę myje. Co wy nogi na
to?

Nie wzywaj w nocy pomocy. Je-
szcze zbudzisz sąsiadów.

I na nas mówią Zachód na
Wschodzie i na nas mówią Wschód
na Zachodzie.

KAROL KORD

Do pewnego pogromcy bajek

„Po Laŋatnie i Ignacym

Koniec z bajkami! Szkoda pracy!

Bo po Kryłowie i po Kernie

Każda z nich musi brzmieć mizernie...

No i tak dalej. Et caetera.

Myśl raz rzuconą nie umiera.

By myśl twa żyła, autorze,

Ja ją... „pomiedzy bajki włożę“.

Rozwińmy myśl rzuconą w „Szpilkach“,

Stwórzmy zakazów jeszcze kilka!

Na przykład:

Pisać wciąż nokturny

Dziś, po Chopinie — pomysł bzdurny!

Po Minkiewiczu i Petrarce

Sonetów winny zmilknąć harce.

Zaś architektki po Bramantem

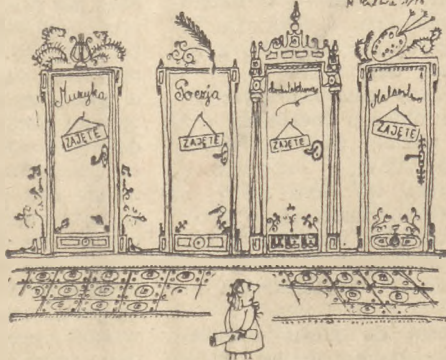
Swe plany niechaj puszcza kantem.

Po Remigluszu triolety

Sensu nie mają też, niestety.

Po Kochanowskim i po Lecu

Fraskami — chyba palić w plecu...



Rys. Lech Zahorski

EDWARD LEAR

Pan i pani Diskobbolos



Rys. K. Ferster

Edward Lear (1812—1888) malarz angiel-
ski, który zasłynął jednak jako pisarz,
autor limeryków i „Wierszy nonsenso-
wych”. Ulubieniec dzieci i dorosłych.
Zaszczyt literaturze angielskiej bakcy-
la absurdałnego humoru, który jej do
dziś nie opuścił.
Wiersz „Pan i Pani Diskobbolos”, po-
mimo absurdałnej formy, zawiera w so-
bie treści, które po osiemdziesięciu pię-
ciu latach noszą wciąż jeszcze cechy
ostrej aktualności.

Część druga

I.

PAN I PANI DISKOBBOLOS

Na murze swym żyli bez przerwy
Przez lat dwadzieścia i dzień i godzinę.
Lica ich w zmarszczkach, włosy białosine,
W zębach zjawily się szczyrby.
Chorób nie znają, smutki obchodzą ich mało,
Podziwialo ich wielu, kilku — szanowało.

Aż pani podjęła mowę:

„Och, do beczulek dwu!

„Nabillam sobie głowę

„Tym, że nam ciasno tu,

„Drogi panie Diskobbolos!

II.

„SPOJRZ NA MARSOWYCH NASZYCH SZESIEU CHŁOPCÓW.

„Na kształty sześciu córek boskie!
„Na szczycie muru wszystko to zrożone,
„Zadnie nie spadło ni w tę, ni w tę stronę,
„Chronione przez matczyną troskę.
„Lecz czy zdolamy, pędząc tutaj całe życie,
„Pożenić ich, wydać je za mąż należycie?
„Stan rzeczy to niezdrowy,
„Och, na beczulki szponi!
„Nie wpadł ci do głowy,
„Ze czas się ruszyć stąd,
„Najdroższy panie Diskobbolos!

III.

„NIE WIEDZĄ, BIEDNE, CO TO BAL,

„Lub choćby i potańcówka.
„Kłóć im, i kiedy, wydrze choć całusa?
„Jakimż młodzieńcom podszeptnie pokusa
„Miłosnej namowy słówka?
„I w dzień i w nocy jestem dolą ich przejęta.
„O, Diskobbolosówny, drogim me dziewczęta!
Lecz męża na to przesło mowie:
„Och, beczek trzysta sześć!
„Ze ci się, durnej białej głowie,
„Chce takie głupstwa pleść,
„Ropusza pani Diskobbolos!”

IV.

I CO UCZYNIŁ PAN DISKOBBOLOS?

Zesłiznął się z muru na ziemię,
Skrętnie bezdenną wykopał pieczarę,
W niej dynamitu umieścił ton parę,
I wrzasnął, o mur wsparłszy cienie:
„Hej! niech wieść pędem bieży do wsi i do miasta,
„Ze dniom waszego życia kres niniejszym nastąpi!”
A pani mu z góry, rzeczowo:
„Och, beczek dwie i ćwierć!
„Czy mur chcesz przebieć głową,
„Czy wrzaskiem obwieścić nam śmierć,
„Straszliwy panie Diskobbolos?”

V.

LE CZ NIE CHCIAŁ PAN DISKOBBOLOS

Zwierać się więcej nikomu,
Zażęł zapalkę i lont podpalił,
Aż góry drgnęły w błękitnej dali
W potwornym łoskocie gromu.
I frunęła rodzina pana Diskobbolosa
Tysiącami szcząteczków, hen, pod jasne niebiosy...
I tylko szepł się szał echow:
„Och, be...czek... cztery...sta...”
Czy przyszło komu by do głowy,
Ze taki kres mieć będzie cna
Rodzina państwa Diskobbolos?

Przełożył Władysław Kopaliński

JANUSZ OSĘKA

Prośby

„Jak tworga, to do Boga“ —
głosi przysłowie.
Towarzysz Majerański,
spodiewając się pewnych
nieprzyjemności za doko-
nanie wymuszenia na jed-
nej z podległych mu pracownic,
którą zwolnił potem zresztą z trzy-
dziestego drugiego paragrafu, po-
szedł pomodlić się do kościoła.

— Boże Miłościwy — szeptał żar-
liwie towarzysz Majerański —
spraw, żeby ta idiotyczna afera nie
stała na najbliższej egzekutywie
POP, ponieważ cały mój nienagan-
ny długoletni staż partyjny pójdzie
w ten sposób do diabła, czego chy-
ba Ty, drogi Boże, nie pragniesz.
Uczyn, Boże Wszechmogący, aby ta
zwariowana baba przestała wrzes-
cie chodzić na skargę do Komitetu
Powiatowego, bo niewiele brakuje,
a mogą doszukać się czego i wy-
rzuć mnie z partii jak gdyby ni-
gdy nic. Proszę Cię Boże, abys mo-
ją sprawę tak pogmatwał i pokręcił,
żeby nikt się nie mógł doszukać
mojej winy, bo Ty wszystko
potrafisz Wszechpotężny Boże, amen.

Towarzysz Majerański miał po-
niekąd szczęście, ponieważ tego
akurat dnia, Pan Bóg postanowił
przystąpić do rozpatrzenia modlitw
partyjnych, jako że ostatnimi cza-
sy zebrało się ich sporo. Wezwał
przeto Pan Bóg anioła — referenta,
aby ten naświetlił zagadnienie jak
należy.

— Modlitwy w sprawach byto-
wych — rzecze anioł — proszące o
premię, podwyżkę, awans i wyjazd
na wczasy do atrakcyjnej miejsco-
wości załatwiłem już we własnym
zakresie jak Pan Bóg przykazał.

— Dobrze — zaaprobował Stwór-
ca. — Co tam jeszcze ciekawego?

— Jest kilka modlitw na wszelki
wypadek...

— Co to znaczy? — zdziwił się
Wszechwiedzący.

— To znaczy — tłumaczył anioł —
że modlący się nie są pewni czy
Bóg istnieje i mówią pacierze na
wszelki wypadek.

— Niech idą do diabła! — zły-
tował się Pan Bóg. — Czy w tym
momencie modli się któryś taki?

— Owszem — potwierdził anioł
sprawdziwszy rzecz na odpowied-
nych aparatach — jest kilku.

— Ja im pokażę — rzekł Bóg i
wychyliwszy się nieco zza chmur
zawołał: „Zobaczysz ty, jeden z dru-
gim, jak ześle na ciebie naganę z
ostrzeżeniem, to się przekonasz, że
istnieje!”

Nawymyślawszy niedowiarkom
Bóg postanowił:

— Posłucham jeszcze osobiście in-
nych modlitw. Zobacz tam, czy ktoś
się modli, bo ja nie dowidzę...

Anioł spojrział na ziemię.

— Przewodniczący spóldzieln
produkcyjnej prosi, żeby mu bura-
ki cukrowe obodzili.

Pan Bóg wziął lornetę i spojrział
we wskazanym kierunku.

— Co? — przeraził się po chwi-
li — na takim piasku buraki? Dla-
czego wałkonie nie zasadzili kuku-
rydzy? Gazet nie czytają, czy co?

Po chwili jednak udobruchał się
niewiele i rozkazał aniołowi:

— Ześlij mu tam instruktora wy-
działu polnego KW, żeby na drugi
raz wiedział co ma sadzić...

Rozejrzał się Pan Bóg po ziemi
i dojrzał nagle partyjnego, który
klekał w jakimś kościele i mruczał
coś niezrozumiale pod nosem.

— Czego on właściwie chce?

— Nic nie chce — wyjaśnił anioł
— bo on jest w ogóle człowiek zu-
pełnie nie wierzący. Absolutny
marksista.

— Dlaczego więc się modli? —
zdumiał się Stwórca.

— Zona mu kazała — tłumaczył
anioł. — Sama wierząca i jemu ka-
że chodzić do kościoła i modlić się.
On kłeka dla świętego spokoju i
mamrocze na niby.

— A to łobuz — rozłożył się Pan
Bóg i pogroził zza chmur. — Czego
mamrocześ bałwanie? Wariata bę-
dziesz z kogoś strugał? Wynocha na-
tychmiast z kościoła!

W tym fatalnym momencie bos-
kiego gniewu przyszła do nieba
żarliwa modlitwa towarzysza Ma-
jerańskiego, który chciał z pomocą
Pana Boga odsunąć od siebie pew-
ne przykrości.

— A ten tam czego? — zawołał
Pan Bóg.

— Towarzysz Majerański z dłu-
goletnim stażem. Dokonał niemo-
ralnego wymuszenia i teraz jego
sprawa stanąć ma na egzekutywie.
Prosi, by Wszechmogący tak po-
gmatwał materiał dowodowy, żeby
go uniewinniono.

— Bezczelność! — krzyknął Pan
Bóg i z oburzenia wałnął pięścią
w tron niebieski. — Co on sobie
w ogóle myśli? Ja mam maczać
swoje święte palce w jego świń-
stwach i bronić go przed karą? Na-
tychmiast sprawę przesać do Woje-
wódzkiej Komisji Kontroli Partyj-
nej! Niech go wyrzuci!

Anioł-referent skrupulatnie zano-
tował Najwyższe Polecenie.

A towarzysz Majerański, którego
wkrótce wykluczono z partii sądził
dotąd mylnie, że Boga nie ma, po-
nieważ nie wysłuchał w potrzebie
jego modlitwy.

Janusz Osęka



Bez podpisu

Rys. Karol Baraniecki